ROCZNIK VII.
TOM I.

NR. 77.
MAJ.
1911.

ŚWIAT SŁOWIAŃSKI

MIESIĘCZNIK

POD REDAKCYĄ
D^RA FELIKSA KONECZNEGO.

KRAKÓW
REDAKCYA UL. GARNCARSKA 2.
ADMINISTRACYA GROBLE L. 15 (parter).

„Świat Słowiański“

miesięcznik poświęcony słowianoznawstwu i przeglądowi spraw słowiańskich ze stanowiska polskiego, wychodzi z początkiem każdego miesiąca w zeszytach 4—5 arkuszowych. — Prenumerata całoroczna wraz z przesyłką pocztową wynosi 10 K. (10 marek), kwartalnie 2 K. 50 hal. (2 M 50 f.) Cena jednego zeszytu 1 K. (1 M.). **Adres** redakcyi **Kraków, ulica Garncarska 2.**

Administracya: Groble L. 15 (parter).

Skład główny na Lwów i Galicyę wschodnią w księgarni **H. Altenberga** we Lwowie.

W Warszawie skład główny w księgarni **Wendego i S-ki.** Prenumerata roczna 5 rb. 50 kop.

TREŚĆ Nru 77-go:

(Maj 1911). Str.

DWA OBRAZKI PETERSBURSKIEJ RACYI STANU.

„Miejmy się na baczności. W Petersburgu... zdradzają nas także. Rosya żyje instynktami barbarzyńskimi. Nie zna wstydu, ni litości. Francya, która ma tyle interesów w Rosyi, zawiniła ciężko przez to, że nie zajęła się w sposób energiczny sprawą chełmską. A zdaje się, że nasz rząd mógłby w formie mniej lub więcej oficyalnej zabrać głos, aby przemówić w Petersburgu językiem innym, niż Pobiedonoscewa". „A prawdą jest, że na rozkaz rządu cesarskiego służalcze zgromadzenie narodowe jest na najlepszej drodze do popełnienia zbrodni w imię tak zwanej racyi stanu i w imię tak zwanego patryotyzmu, który w rzeczywistości jest nikczemnością i głupotą. Kiedyś Rosya sama na sobie tego doświadczy, że ludy tak samo, jak jednostki, muszą płacić za głupstwa i pokutować za nikczemność".

Oto słowa, które głosem silnym rzucił niedawno na łamach poważnego organu politycznego w Paryżu, *Gil-Blas* — p. Henri de Nousanne. Upomniał się w tych słowach nietylko o godność sprzymierzonego narodu, lecz odwołał się do samego sensu przymierza francusko-rosyjskiego, które z chwilą wydzielenia t. zw. Chełmszczyzny, wraz z równoczesnem wycofywaniem wojsk rosyjskich z Królestwa Polskiego kongresowego, nie przedstawia już prawie żadnej realnej wartości dla Francyi. Przymierze rosyjsko-francuskie było obliczone na ugrupowanie się mocarstw w samej Europie. Nie ulega zaś wątpliwości, że projekt utworzenia nowej gubernii chełmskiej i przyłączenie jej do t. zw. Krajów zabranych (Kijów) służy przedewszystkiem interesom pruskim.

Dokonywa się nieznacznie i powoli wstępna akcya do pruskiej okupacyi części Królestwa Polskiego po Wisłę. Ponieważ zagranica powołuje się dotąd jeszcze na brzmienie traktatu kongresu wiedeńskiego z r. 1815 (np. p. de Nousanne), chcą Prusy, by naruszenia dawnego kongresu dopuściła się sama Rosya, tj. by przeprowadziła zmianę w granicach kongresowego Królestwa Pol-

„Świat Słowiański“

miesięcznik poświęcony słowianoznawstwu i przeglądowi spraw słowiańskich ze stanowiska polskiego, wychodzi z początkiem każdego miesiąca w zeszytach 4—5 arkuszowych. — Prenumerata całoroczna wraz z przesyłką pocztową wynosi 10 K. (10 marek), kwartalnie 2 K. 50 hal. (2 M 50 f.) Cena jednego zeszytu 1 K. (1 M.). **Adres** redakcyi **Kraków, ulica Garncarska 2.**

Administracya: Groble L. 15 (parter).

Skład główny na Lwów i Galicyę wschodnią w księgarni **H. Altenberga** we Lwowie.

W Warszawie skład główny w księgarni **Wendego i S-ki.** Prenumerata roczna 5 rb. 50 kop.

TREŚĆ Nru 77-go:

(Maj 1911). Str.

DWA OBRAZKI PETERSBURSKIEJ RACYI STANU.

„Miejmy się na baczności. W Petersburgu... zdradzają nas także. Rosya żyje instynktami barbarzyńskimi. Nie zna wstydu, ni litości. Francya, która ma tyle interesów w Rosyi, zawiniła ciężko przez to, że nie zajęła się w sposób energiczny sprawą chełmską. A zdaje się, że nasz rząd mógłby w formie mniej lub więcej oficyalnej zabrać głos, aby przemówić w Petersburgu językiem innym, niż Pobiedonoscewa“. „A prawdą jest, że na rozkaz rządu cesarskiego służalcze zgromadzenie narodowe jest na najlepszej drodze do popełnienia zbrodni w imię tak zwanej racyi stanu i w imię tak zwanego patryotyzmu, który w rzeczywistości jest nikczemnością i głupotą. Kiedyś Rosya sama na sobie tego doświadczy, że ludy tak samo, jak jednostki, muszą płacić za głupstwa i pokutować za nikczemność“.

Oto słowa, które głosem silnym rzucił niedawno na łamach poważnego organu politycznego w Paryżu, *Gil-Blas* — p. Henri de Nousanne. Upomniał się w tych słowach nietylko o godność sprzymierzonego narodu, lecz odwołał się do samego sensu przymierza francusko-rosyjskiego, które z chwilą wydzielenia t. zw. Chełmszczyzny, wraz z równoczesnem wycofywaniem wojsk rosyjskich z Królestwa Polskiego kongresowego, nie przedstawia już prawie żadnej realnej wartości dla Francyi. Przymierze rosyjsko-francuskie było obliczone na ugrupowanie się mocarstw w samej Europie. Nie ulega zaś wątpliwości, że projekt utworzenia nowej gubernii chełmskiej i przyłączenie jej do t. zw. Krajów zabranych (Kijów) służy przedewszystkiem interesom pruskim.

Dokonywa się nieznacznie i powoli wstępna akcya do pruskiej okupacyi części Królestwa Polskiego po Wisłę. Ponieważ zagranica powołuje się dotąd jeszcze na brzmienie traktatu kongresu wiedeńskiego z r. 1815 (np. p. de Nousanne), chcą Prusy, by naruszenia dawnego kongresu dopuściła się sama Rosya, tj. by przeprowadziła zmianę w granicach kongresowego Królestwa Pol-

skiego już dzisiaj. Wyczuwają bowiem i Prusy i Rosya puls dyplomacyi europejskiej, że dzisiaj nikt nie zaoponuje przeciw takiemu bezprawiu. W ten sposób i tu biegnie polityka rosyjska szlakiem pour le roi de Prusse. Petersburska racya stanu, wypróbowana na współczesnem gnębieniu wolności Finlandyi, co przechodzi w Europie bez urzędowego państw innych protestu, zabiera się z kolei do „zachodnich kresów".

Zdarzało się nam niejednokrotnie, zwłaszcza w prasie ruskiej, słyszeć i czytać, że Rosya chce ratować dla siebie to, co historycznie i etnograficznie od dawna jest rosyjskiem, że skoro o „obrusieniu" Królestwa Polskiego niema mowy ani teraz, ani kiedykolwiek w przyszłości, skoro samo Królestwo Polskie przyprawia życie państwa rosyjskiego o ciągłe niespodzianki i nieprzeliczone kłopoty, trzeba zoperować ten wrzód i odciąć go zawczasu, ratując dla siebie to tylko, co raczej uzdrowi się w organiźmie czysto rosyjskim, niż coby mogło sprowadzić chroniczne niedomagania samego imperyum rosyjskiego.

Trzeba nam więc zaglądnąć do źródłowej statystyki i sprawdzić, kto tu właściwie ma prawo mówić o „ratowaniu" pozycyi, a raczej czy owa troskliwość petersburskiego wybuchu patryotycznego nie oznacza apetytu — podobnego, jak ongiś za czasów Siemaszki, Łużyńskiego, Zubki, Hołubowicza lub Marcelego Popiela, apetytu, który doprowadził rząd moskiewski do zniesienia Unii na Białej Rusi w r. 1837 i na Podlasiu w roku 1875. Rozum nacyonalistyczny rosyjski i stołypinowska racya stanu pragną w tym zakątku kongresowego królestwa dokonać „dobrowolnego" przejścia ludności na prawosławie, powtórzyć te czasy, z których literatura pisana zachowała niezatarte, a liczne wspomnienia [1]). Lecz, co było możliwe za Katarzyny i Mikołaja I., lub po duchowym pogromie

---

[1]) 1. Zob. „Litwa pod względem prześladowania w niej rzym. kat. Kościoła". (Wyd. Bibl. pol. w Paryżu). Poznań 1872.

2. „Pamiętniki J. Siemaszki"; oprac. X. Chotkowski. — Kraków 1886 roku.

3. Wł. Chotkowski: „Dzieje zniweczenia św. Unii na Białorusi i Litwie". Kraków 1898.

4. „Z męczeńskich dziejów Unii". Poznań 1888.

5. Likowski: „Historya unii kościoła ruskiego" Poznań 1875.

6. Likowski: „Dzieje kościołów unickich" Poznań 1880.

7. „Plan zniweczenia Kościoła grecko-unickiego w Rosyi". Dokument historyczny przez O. Martinowa T. J. Kraków 1882.

styczniowym, nie przechodzi tak łatwo w XX. wieku Pod tym względem nie nauczył rosyjskiej racyi stanu nawet patent tolerancyjny z r. 1905, któremu towarzyszyło około dwakroć t. zw. „konwersów“, tj. dwa kroć wypadków przejścia na obrządek łaciński! — Takie fakty, niezmuszające nas do cofania się do kronik Nestora i dziejów nadbużańskich w przeszłości (coby zresztą wyszło na naszą tylko korzyść), same przez się staną za motywy historyczne, tem silniejsze, że przywodzą na myśl krwawe rzezie dokonywane na t. zw. „opornych“ w Drelowie (powiat radzyński) i Pratulinie (powiat konstantynowski), czyli w miejscowościach objętych właśnie granicami projektowanej gubernii chełmskiej! (gub. siedlecka).

W r. 1909 wyszła ciekawa dla ogólnej wiadomości statystyka pióra Stefana Dziewulskiego, pt. „Statystyka ludności gubernii lubelskiej i siedleckiej wobec projektu utworzenia gubernii chełmskiej“, a z nią wymowna w ułożeniu mapka projektowanej Chełmszczyzny [1]. Gubernia lubelska liczyła w 1906 r. 67,49% katolików, a tylko 16,05% prawosławnych; gub. siedlecka zaś 73,2% katolików, a 8,5% prawosławnych. Same te liczby mówią bardzo wiele — tem więcej, gdy się uwzględni t. zw. „opornych“, czyli unitów, których liczbę same protokoły z posiedzeń komitetu ministrów z dni 25/1, 8/2, 15/2 (st. st.) 1905 r. określały na 100.000 głów! Więc nawet powierzchowne obliczenia rozciągnięte na całe, projektem Chełmszczyzny zagrożone gubernie, nie uprawniałyby do śmiałego pomysłu utworzenia osobnej gubernii z wyznaniowych powodów, t. j. celem ratowania prawosławia. Bo i w oddzielonej części cyfry brzmią dla racyi stanu Petersburga jak najfatalniej. Według obliczenia z r. 1906 liczyła ta część gub. lubelskiej, która miałaby wejść w skład projektowanej gubernii chełmskiej, 50,55% katolików przy 32,79% prawosławnych, a część gub. siedleckiej, włączona w rządowy projekt, 52,99% katolików wobec 25,66% prawosławia. Ogólne dla obydwóch gubernii cyfry będą więc takie: katolików 51,64%, prawosławnych 30,64%! Wprawdzie „komitet statystyczny“ umiał w swoim z tego samego roku wykazie pomniejszyć ilość, oczywiście katolików tylko; ale i w tej tabeli cyfry mówią niedwuznacznie, że w projekto-

[1]) *Ekonomista* 1909, zęszyt 1.

wanej gubernii chełmskiej prawosławni stanowią mniejszość 1/3 (katolików 46,01% wobec 35,77% schizmatyków).

W r. 1909 opracowało ministeryum spraw wewnętrznych uzupełnienia do pierwotnego projektu rządowego, niewiadomo co prawda, na jakich ostatecznie urzędowych źródłach oparte, skoro cyfry podane przez „Trudy warszawskogo Komiteta statisticznogo“ i „Gubernskije Jeżegodniki“ (obydwa źródła urzędowe) tak często odbiegają od siebie (np. w dniu 1/I 1905 pierwsza statystyka podaje ludność gub. lubelskiej na 1,389.383, zaś z tego samego dnia źródło drugie na 1,437.351!). W nowem opracowaniu z roku 1909 — prócz „ustaw wyjątkowych“, czekających również na zatwierdzenie Dumy, jak np. o zakazie nabywania przez Polaków ziemi w przyszłej gubernii chełmskiej i o zniesienie niektórych wykładów polskich w szkołach — znajdują się drobne zmiany terytoryalne. Odliczono bowiem z pierwotnego projektu te gminy, w których liczba prawosławnej ludności waha się między 0—7%! Nie oznacza to bynajmniej, że w pozostałym do dziś dnia rządowym projekcie nie figurują cyfry, przekonywające wymownie o słuszności stołypinowskiej racyi stanu. Koło Biłgoraja spotkamy 5%, w Puszczy Solskiej 3%, w Horodyszczu 2½% prawosławnych! Według obliczenia (ostatniego) rządowego znajduje się w nowej gubernii 412.922 katolików (48,35%) i 283.371 prawosławnych (33,18%). Nic dziwnego, że dla takiej mniejszości trzeba nietylko osobnej, „zdala od wpływu polskiego“ gubernii, lecz i ustaw wyjątkowych, uniemożliwiających Polakom (łacinnikom) utrzymanie dzisiejszej większości. Czy jednak te i nawet przyszłe ustawy wyjątkowe utorują drogę dla tryumfu petersburskiej racyi stanu? Można już dzisiaj w to wątpić.

Są wprawdzie w projektowanej gubernii chełmskiej okolice z większą liczbą prawosławnej ludności, np. w powiecie chełmskim 32,1%, w hrubieszowskim 47,6%, w tomaszowskim 38,2%, (wszystko z gub. lubelskiej); ale w tych samych powiatach jest katolików: w chełmskim 38,8%, w tomaszowskim 49,8%, a tylko w hrubieszowskim 36,4% (obliczenie z 1/I 1906), przyczem zauważyć należy, że gminy o większości prawosławnej przeplatane są gminami o większości katolickiej. Są powiaty, które wykazują nawet ponad 50% ludności prawosławnej, ba nawet 70%. Są to jednak wycinki z samego wschodniego pograni-

cza gubernii siedleckiej, a przedewszystkiem lubelskiej (zob. mapkę S. Dziewulskiego).

Każda „racya stanu“ szuka odpowiedniego poparcia dla swoich sofizmatów i pomysłów. Ciekawem więc byłoby zapoznać się z ewentualnymi motywami natury np. strategicznej, lub przedewszystkiem ekonomicznej, gospodarczej lub oświatowej, gdzie dobro miejscowej ludności przyświeca mężom stanu w opracowaniu danego projektu.

Otóż w tej mierze zaspokaja naszą ciekawość swoją książką, zbierającą liczne artykuły, myśli i zestawienia cyfrowe, pisane przez siebie w rozmaitych pismach i miesięcznikach, p. Henryk Wiercieński [1]. Przegląd motywów tego rodzaju rozbraja ciekawych, czy istotnie projekt wyodrębnienia gubernii chełmskiej jest tylko owocem bardzo prozaicznie pojętego interesu episkopa Eulogiusza i duchowieństwa prawosławnego, „działającego“ na tym obszarze, oraz rezultatem tendencyi współczesnego nacyonalizmu rosyjskiego.

Wzgląd strategiczny jest tu wykluczony. Dawni generał-gubernatorowie warszawscy powstrzymywali zakusy „istinnych“, wskazując właśnie na wojenne racye. Obecny generał-gubernator powtarza opinie swych poprzedników. Wzgląd zaś gospodarczy nie upoważnia do tak ryzykownego kroku państwa, patrzącego w przyszłość poważniej i z kredką w ręku. Przypuśćmy bowiem nawet, że rząd jest przekonany o słuszności swojej sprawy, więc że uważa utworzenie nowej gubernii chełmskiej za usprawiedliwione. Ale rzeczą co najmniej dziwną pozostanie fakt, że w nowej gubernii przeważy niedługo element i kapitał obcy, a mianowicie niemiecki, że więc „odzyskanie“ tego szmatu ziemi dla Rosyi będzie pod względem państwowym fikcyjne. Gdy zaczęto wypierać z zachodnich kresów żywioł polski, zjawiali się natychmiast Niemcy. Jeden tylko powiat chełmski ma takich przybyszów 30.000 z górą! Na utworzeniu zaś szeregu urzędów w Chełmie, na budowlach nowych, domach zajazdowych, przedsiębiorstwach itp., zarobią znów żydzi. Obliczają zysk roczny, w ten sposób uzyskany, na 200—300 tysięcy rubli. Ale na nowe gmachy rządowe (gubernialne), na urządzenie nowej gubernii popłyną miliony rubli. Czy jest słusznem,

---

[1]) H. Wiercieński: „W sprawie wydzielenia Chełmszczyzny“, Warszawa 1910.

(pyta p. Wiercieński), by mieszkaniec Kaługi, lub Tuły składał ciężko zapracowany grosz swój na to, by mieszczanin chełmski (tj. żyd) mógł dochody swoje podwoić, a nawet potroić? I czy to jest ideałem gospodarki ekonomicznej państwa?

Natomiast — jak to już dzisiaj da się przewidzieć — ukażą się inne jeszcze minusy z chwilą kreowania nowej gubernii chełmskiej, które dotkną bezpośrednio samą ludność Chełmszczyzny. Przez sto lat z górą koncentrowały się interesy mieszkańców zagrożonych powiatów w Lublinie, Siedlcach, lub w Warszawie (centra administracyjno-sądowe, akty rodzinne i majątkowe). Nie wszystko da się przenieść do nowego gubernialnego miasta. Niejeden np. akt osobisty i majątkowy będzie musiał pozostać w dotychczasowych archiwach choćby dlatego, że obejmuje interesy osób i majątków, które pozostaną nadal w obrębie generał-gubernatorstwa warszawskiego. Jakie wynikną stąd koszta dla interesantów, można to już dzisiaj przewidywać. Dla niejednego nowatorstwo chełmskie może być pod tym względem ruiną. Powiaty przyszłej gubernii chełmskiej grawitowały ekonomicznie ku Warszawie, jako do centralnego punktu zbytu (produkty gospodarstwa wiejskiego), z Warszawy dochodziły natomiast fabrykaty i inne potrzeby. Ten ekonomiczny punkt ciężkości nie da się przesunąć nowem ukształtowaniem gubernii. Otóż dla ludności jest rzeczą bardzo cenną, gdy w temsamem miejscu załatwia swe interesy zarówno ekonomiczne, jak i prawne lub administracyjne. Kto nagrodzi ludności Chełmszczyzny ów rozdział interesów? I te właśnie racye figurowały stale w sprzeciwach generał-gubernatorów warszawskich (wyjąwszy hr. Szuwałowa).

Nic więc dziwnego, że rząd unika starannie poruszania tych motywów, a za powód wydzielenia Chełmszczyzny podaje — risum teneatis! — „ucisk i prześladowanie“ ludności „russkiej“ przez Polaków! Czyż można choćby przypuścić, że władza rządowa pozwoliłaby na „uciskanie“ kogokolwiek ze strony polskiej! I dlatego i ten czynnik okazał się w praktyce zawodny, i dlatego właśnie przy zbieraniu podpisów wśród miejscowej ludności (za wyodrębnieniem tych okolic) używano obłudnego i wstrętnego, jak na charakter i rolę państwa, hasła, bardzo ponętnego, tj. obietnicy rozdania ziemi. Nie wspominamy już nawet o podstępnem wyłudzaniu podpisów, np. zapomocą t. zw. sprawozdania, czy dzieci umieją napisać swoje nazwisko, nazwisko ojca, brata itp.! Słusznie zaznacza Wiercieński, że sprawa owych

„dobrowolnych“ podpisów, która tak elektryzujące wywiera wrażenie na pewnej części prawicy Dumy, powinna być przekazaną prokuratorom i sędziom śledczym!

Pod względem oświatowym zaś nie wiem, czy trzeba szukać dopiero nowych granic gubernialnych, by prawosławną ludność „ratować“ przed polonizacyą. Według statystyki H. Wiercieńskiego (Warszawa 1901), istniała w gubernii lubelskiej w okolicach czysto polskich jedna szkoła elementarna na 71 wiostr kwadrat. i 6.359 ludności, w powiatach zaś o większej liczbie prawosławnych była jedna szkoła na 17·7 wiorst kwadr. i 1.327 ludności. Potwierdzają to i urzędowe „Roczniki gubernialne“. Stosunek więc, jak 4:1!

Któż więc zyska na nowej gubernii? W gub. lubelskiej posiadają katolicy 1 kościół na 5.726 dusz, prawosławni 1 cerkiew na 953 wyznawców. Jeden kapłan katolicki przypada na 3.918 wiernych, prawosławny (jeden) na 1.120 głów. W związku z tem pozostaje oczywiście uposażenie duchowieństwa, — lecz w jak nieproporcyonalnym jednak stosunku! Duchowieństwo prawosławne (w liczbie 181) ma 405.735 rubli w gotówce i 133.570 rubli w ziemi, razem 539.305 rubli; duchowieństwo katolickie (w liczbie 240 osób) posiada 51.859 rubli w gotówce i 11.140 rubli w ziemi, razem 62.998 rubli! Czyli: koszt duszpasterstwa prawosławnego wynosi 2 ruble 34 kop., zaś duszpasterstwa katolickiego 6½ kopiejki na głowę! Możnaby więc mniemać, że korzystniejszych warunków nie znajdzie już wcale prawosławne duchowieństwo. Widocznie jednak liczy ono na okres „bogobojnych misyi“ i na efekt silniejszy w uposażeniu od obecnego.

Zyska jednak znacznie i nieporównanie więcej i od popów i od tamtejszych czynowników: rząd pruski. Nie bez racyi przyjął się termin o warszawskich markgrafach, a więc termin, określający zależność rosyjskiej polityki od Berlina, tak, że władza rosyjska nad Wisłą jest jakby marchią wschodnią państwa pruskiego.

W gubernii lubelskiej posiadają dziś Niemcy 57.009 morgów, dzierżawią zaś 2.741 morgów. Rzecz dziwna, że wybujały nacyonalizm stołypinowskiej marki nie widzi w tem żadnego dla rosyjskiego państwa niebezpieczeństwa. Samo Królestwo Polskie posiada Niemców około 600.000.

Tak przedstawiają się rzeczowe strony i argumenty, dotyczące projektowanej gubernii chełmskiej. Ludność polska, która na zie-

miach tych pisała krwią swą przynależność do religii katolickiej i do narodowości polskiej, która w projekcie rządowym widzi same akty bezprawia, która opiera się na rzetelnie odwiecznych zasługach i prawach swoich do ziemi, religii i wolności, patrząca dzisiaj jeszcze z dumą na „Towarzystwo rolnicze Hrubieszowskie“ fundacyi niezapomnianego Stanisława Staszica, którego napisy rządowe przeistoczyć chcą obecnie w „statskiego sowietnika“, ta rzesza polska, lub z Polską i jej kulturą związana, przeniesie na sobie ewentualny fakt wyodrębnienia z granic Królestwa Polskiego gubernii chełmskiej z równem zapewne bohaterstwem i wytrwałością, jak dotychczas potrafiła przeżyć i bez szwanku przebyć urzędowe „zniesienie“ unii. I jak wtedy ani ucisk, ani nieuznawanie słynnych „krakowskich“ małżeństw (których następstwem było przecież uważanie przez rząd dzieci takich unitów za nieślubne!) nie zbliżyło naszych unitów do prawosławnej cerkwi, tak i teraz z wiarą możemy patrzeć w wypróbowane siły i niezłomność tego nieszczęśliwego ludu — bez względu na to, czy nowa gubernia chełmska będzie miała rozstać się z Królestwem Polskiem, czy też jako osobna jednostka gubernialna pozostanie jednak w administracyjnej łączności ze swą macierzą.

* * *

Cynizm petersburskiej racyi stanu zadecydował już w innej, aż nadto charakterystycznej sprawie, a mianowicie przy rozprawach w Dumie nad interpelacyą Koła Polskiego, dotyczącą rzymsko-katolickiego kościoła w Opolu (gub. siedlecka). Przedstawił się on światu z trybuny parlamentarnej tak dalece „bez rękawiczek“, i w sposób tak niczem nie krępowany, że sami deputowani rosyjscy (oczywiście nie z prawicy, ani z frakcyi październikowców, którzy zachowali w tym wypadku „dostojne“ milczenie) napiętnowali z całą mocą karygodność postąpienia stołypinowskiego rządu (np. Lwow I, Rodiczew, hr. Uwarow, staroobrzędowiec Gulkin i i.).

Oto, jak się przedstawia meritum tej sprawy. [1]) Rzymsko-katolicki kościół w Opolu, wzniesiony ofiarą kasztelana brzeskiego Łukasza Kopcia w r. 1643, został zamieniony z początkiem XIX wieku za wolą, wiedzą i zgodą ówczesnego kolatora Szlubowskiego i rzymsko-katolickich władz duchownych

---

[1]) Szlubowski Bronisław: O kościół w Opolu. Warszawa 1910.

na parafialną świątynię grecko-katolicką (unicką). Cerkiew unicka spaliła się, czy też zawaliła. Ponieważ grecko-katolickiej ludności było w tej okolicy wówczas znacznie więcej, niż łacinników, odstąpiono Rusinom dobrowolnie świątynię polską. Na kościół parafialny przeznaczono wówczas dla rzymsko-katolickiej ludności kaplicę grobową rodziny Szlubowskich, zbudowaną przez Józefa Szlubowskiego i jego synów w samym początku XIX wieku. Kościół więc ten był zarazem i parafialnym dla wiernych, oraz kaplicą grobową rodzinną. Toteż aż do roku 1868 tj. do daty wyprowadzenia się rodziny Szlubowskich z Opola (częścią z powodu zakupienia innego majątku w Radzyniu, gdzie stanęła druga kaplica grobowa, częścią z powodu nieszczęść roku 1863), zmarli członkowie kolatorskiej rodziny w tej kaplicy rodzinnej stale byli chowani. W roku 1875, roku zniesienia przez rząd unii, przepisano i w tym powiecie unitów na prawosławie. Unici opolscy nie chcieli jednak uczęszczać do cerkwi prawosławnej (na jaką zamieniono dotychczasowy kościół grecko-katolicki, dawniej zaś rzymsko-katolicki) i nawiedzali tłumnie skromną kaplicę grobową. Wtedy usunięto rzymsko-katolickiego proboszcza z Opola, a parafian łacińskich przyłączono do kościoła w Sosnowicy (oddalonego od Opola o 20 wiorst!). W połowie roku 1877 zakazał generał-gubernator Kotzebue odprawiania w kaplicy grobowej katolickiego nabożeństwa. Wówczas parafianie poręczają na piśmie, że własnem mieniem odpowiadają za uposażenie rzymsko-katolickiego księdza (rok 1883). W roku 1890 polecono ukazem carskim oddać rzymsko-katolicki kościół (kaplicę) w ręce prawosławnego duchowieństwa. Powiedziano znacznie później, że świątynia ta „przeszła w posiadanie“ prawosławia.

Opustoszał Dom Boży. Według relacyi opolskich włościan dopuszczano się w nim karygodnych nadużyć, które uchodziły płazem tem bardziej, że rodzina fundatorów opuściła już dawno Opole i że nie miał kto doglądać tej grobowej kaplicy. Zaginęła krata żelazna, oddzielająca wejście do podziemia. W podziemiach tych nocowały podobno bandy włóczęgów i rabusiów, a po kaplicy grasowały swojskie zwierzęta. Według aktów kościelnych powinno być w podziemiu 14 trumien. W dniu przerobienia kościoła na cerkiew było ich tylko 6! Na tem tle opowiadają w okolicy, że skradziono (po naruszeniu miejsca wiecznego spoczynku i otworzeniu trumien) kontusz, słynny pas słucki i pałasz

generała H a u m a n a, teścia J a n a S z l u b o w s k i e g o. Miano nawet naruszyć kości umarłych!

Taki stan rzeczy, sprzyjający „naturalnemu (jak urzędownie wyrażono się) rozkładowi“ kaplicy przetrwał do roku 1905, t. j. do chwili wydania edyktu tolerancyjnego. Ukaz ten, zdawało się — zamknie sprawę tej świątyni, której otwarcia domagali się przez cały czas wyznawcy. Okazało się jednak, że ten ukaz... zaszkodził tylko kościołowi! Po wydaniu edyktu tolerancyjnego udały się nieprzejrzane rzesze Opolan do Sosnowicy i zażądały przepisania każdego z osobna z nominalnego prawosławia (narzuconego) na... łacinizm. Nie pomogły obietnice, rozsiewane często i gęsto wśród włościan, że wytrwałym wyznawcom schizmy odda rząd w podział dobra rządowe i majoraty; nie przydało się na nic wydzierżawianie na bardzo korzystnych warunkach pola prawosławnego probostwa. L i b r i c o n v e r s o r u m rosły z dnia na dzień. Parafia katolicka w Opolu liczy dzisiaj 3000 dusz, prawosławna nieledwie połowę tej liczby.

Rzecz prosta, że rozpoczęły się prośby o zwrot parafialnego kościoła (kaplicy rodziny S z l u b o w s k i c h). Dwie prośby do tronu pozostały bez odpowiedzi. Wówczas (październik 1906) weszli włościanie do kościoła i pilnowali drogiej świątyni dniem i nocą. Zjawił się naczelnik powiatu ze strażnikami i przywrócił „porządek“ (wielu pobitych, wielu okaleczonych). Wobec takiego zawodu (włościanie bowiem zajęli świątynię w nadziei, że prośba do tronu, wysłana już po tolerancyjnym ukazie, została uznaną za słuszną, lecz że władze tylko nie spieszą się z wręczeniem przychylnej odpowiedzi), wystarali się dzielni parafianie o księdza, i uzyskali od obecnego właściciela Opola p. M i e r z y ń s k i e g o pozwolenie na zajęcie nie wielkiej oranżeryi pałacowej na... tymczasową kaplicę, mieszczącą zaledwie 50 osób!

W r. 1907 postanowiła Rada ministrów oddać sprawę zwrotu zabranych dawniej kościołów katolickich do decyzyi ciałom prawodawczym. W tem postawieniu kwestyi dopatrzyło się duchowieństwo prawosławne w Opolu możliwego „skandalu“, a mianowicie tego, że z chwilą oddania zabranej kaplicy przez władzę prawodawczą, nikt już nie powstrzyma pozostałych wyznawców prawosławia od przejścia na rzymsko-katolicką wiarę. Skandalem byłoby opustoszenie cerkwi, w której pozostałby jeden wyznawca, tj. pop! Postanowiono tedy dokonać pospiesznego poświęcenia zabranego przed 17 laty kościółka na cerkiew prawosławną. Fakt

ten stał się dnia 2 grudnia 1907 roku za prawosławnego episkopatu Eulogiusza — oczywiście w asystencyi strażników. Nie powiadomiono o tem nikogo, nawet członków rodziny Szlubowskich, której przodkowie spoczywają do dziś w podziemiach kościoła!

Cóż pozostało biednym parafianom do uczynienia? Wnieść interpelacyę w Dumie. Na wieść o tem, pospieszyły władze z zaofiarowaniem najpierw 8.000, potem 15.000, wreszcie 18.000 rubli (jako odszkodowanie za zajętą świątynię) na nowy kościół rzymsko-katolicki. Ludność odrzuciła niegodną propozycyę i wniosła trzecią z rzędu prośbę do cesarza. W tym wypadku rozpatrzono ją i... odrzucono, jako bezprzedmiotową! Sfery bowiem miarodajne (miejscowe) postarały się o fałszywe doniesienie, że ludność katolicka... przyjęła propozycyę odszkodowania. Wobec tego załatwienie prośby było już zbędne.

Cesarz prośbę odrzucił! Dla obecnej Dumy było to wystarczające. Roma locuta, causa finita! Nie zapytano nawet o słuszność pretensyi rodziny Szlubowskich, fundatorów i właścicieli tej kaplicy. Nie zważano na protest, umieszczony w interpelacyi Koła Polskiego, przedstawiający najwyraźniej fałszywość doniesienia o kompromisowem rzekomo usposobieniu wśród ludności opolskiej. Obrady w Dumie ciągnęły się od 10 lutego do 16 marca 1910 roku i ostatecznie prócz niewątpliwego dla nas moralnego zwycięstwa — zakończyły się formułą październikowców: przejścia do porządku dziennego nad całą sprawą!

Dumska dyskusya, utrwalona (w spolszczeniu) dzięki wydaniu książki p. Bronisława Szlubowskiego, pozostanie niezbitym wyrazem zarówno intencyi rządu petersburskiego, jak i usposobienia reakcyjnej z ducha, służalczej z przyrodzenia większości tego ciała „prawodawczego“ wobec obywateli „drugiej klasy“. Właściwie nie jest to dla nas ani nowiną, ani zjawiskiem, które wystąpiło po raz pierwszy. Ale tak perfidna miejscami dyskusya rodzi się na kamieniu i nie jest chlubą ciała reprezentacyjnego. Przytem owe wycieczki deputowanych rosyjskich przeciw „rzymskiemu papie“, owo dowolne i niczem nieposkromione „pozwolenie sobie“ na katolicyzmie, miały miejsce w zgromadzeniu, które uważa się za narodowe i państwowe, które więc powinno doceniać wysokość zajętej placówki i pielęgnować elementarne zasady szacunku, a choćby i milczenia, gdy ktoś

lżony jest nieobecny, co więcej — gdy atakowanym jest papież, z którym rosyjskie państwo utrzymuje dyplomatyczne stosunki.

Ale i ta dyskusya miała swoje cenne strony. Prawicy dumskiej szło poniekąd o poniżenie, o obniżenie o parę stopni wartości tej wiary, w obronie której stanęli katolicy z Opola. Wykazać, że to uczucie jest ślepe i podsycane, bo przeszłość i dzieje katolickiego Kościoła mają „ciemne punkty i cienie", było wdzięcznem dla wielu mowców zadaniem. Czy jednak znalazły się jakieś zarzuty, dostosowane do miejscowości, o którą w tym wypadku walczono, udowadniające pewnych z przeszłości polskiego katolicyzmu objawów upadku, lub może nawet i gangreny wewnętrznej? Wcale nie. Wydobywano natomiast rozmaite szczegóły ze średniowiecznych dziejów papiestwa, a argumenty takie miały widocznie jakiś organiczny, przyczynowy związek z zajęciem kościoła w Opolu i bezczeszczeniem rodzinnego grobowca!

Czy uzyskali katolicy opolscy od Dumy przynajmniej owych 18000 rubli na budowę nowego kościoła? O tem nie myślała Duma, zapomniał i rząd, który z niekłamanem zadowoleniem słuchał nacyonalnego i reakcyjnego rozpędu krasomówczego w Dumie. Wspaniałe przemówienia posła siedleckiego L. D y m s z y, posłów: J a r o ń s k i e g o, N a k o n i e c z n e g o, Ż u k o w s k i e g o, ks. M a c i e j e w i c z a i P a r c z e w s k i e g o, ich argumentacye, nie mogły trafić do przekonania tej większości, wśród której zasiadł P u r i s z k i e w i c z, A l e k s i e j e w, Z a m y s ł o w s k i j, J u r a s z k i e w i c z, hr. B o b r i n s k i j (II). ep. E u l o g i u s z i inni. Nawet rosyjskie czyste sumienie, które odezwało się przez usta L w o w a I., R o d i c z e w a i wielu innych, nie miało skutku żadnego. Chłostał L w o w I. (gub. saratowska) dzisiejszą rosyjską racyę stanu samymi faktami, przedstawiał perfidyę prawicowców poseł petersburski R o d i c z e w, który wołał: „Pragnę oczyścić naród rosyjski od zarzutu solidarności z tym aktem", i który rzucił prawicy w twarz słowa, że z postąpieniem rządu i prawicy pogodzi się może „19-cie tysięcy szlachty w sojuszu z duchowieństwem rosyjskiem", ale nie zgodzi się nigdy naród rosyjski; przypominał Dumie słynne „krakowskie śluby" unitów, których „niby nie było", hr. U w a r o w. (gub. saratowska). Milczeli na to październikowcy — frakcya, która konstytucyjnej wolności sumienia i wyznania powinna była bronić dla samej racyi istnienia tego stronnictwa.

* * *

W czasie swoich rządów umiał Stołypin rozpalić nacyonalizm rosyjski. Są to może jedyne zewnętrzne wyrazy konstytucyjnych zdobyczy, jakie spadły na narody państwa rosyjskiego po ciężkiem doświadczeniu rosyjskiego oręża na dalekim Wschodzie. Dokoła stołypinowskiej racyi stanu krąży obecnie życie rosyjskie i nadal. Petersburski markgraf ma powodzenie i nie powtórzył jeszcze zdania: fortuna variabilis.

Dr. Władysław Horodyski.

PROFESOR HRUSZEWSKIJ I JEGO HISTORYA UKRAINY-RUSI.

Kilka słów, kilka uwag.

Profesor historyi wschodu Europy na uniwersytecie we Lwowie, p. Michajło Hruszewskij, wydaje od roku 1898 historyę kraju, który, wbrew historyi, podobało mu się nazwać Ukrainą-Rusią. W tem niema jeszcze nic złego. Wolno historykowi nie liczyć się z historyą. A pracowitość p. Hruszewskiego nie byle jaka, bo oto po dzień dzisiejszy wydał już siedm tomów swojej tak zwanej Historyi Ukrainy-Rusi. A wszystkie tomy grube i na mięsistym papierze, co jeszcze bardziej imponuje czytelnikom, którzy takiej historyi nie będą czytać nigdy. Widocznie p. H. chciał stworzyć rzecz tak wielką, ażeby nawet Schlosserowi mógł dorównać. I stworzył, bo czegóż silna wola nie dokaże? Ażeby jednak owa historya Ukrainy-Rusi — dotychczas takiej nie było — jeszcze bardziej imponowała nawet Niemcom swoim ogromem, zaczął wielkie dzieje mało znanego narodu, jak przystało na człowieka uczonego, prawie od Adama i Ewy. Jeżeli istnienie pierwotnych rodziców rodu ludzkiego nie dało się odszukać na przestrzeni od Karpat do „gęby Wołzinej“, jakby powiedział nasz Bielski, to już nie jest winą czcigodnego profesora, ale tych brzydkich „kniżników“, którzy miejsca urodzin nie wskazali i metryki nie wpisali. Ale mniejsza z tem. Zaczął natomiast od Scytów, Neurów, Melanchlonów, Antów, Gotów, Alanów, Budynów, Traków, Kazarów — przepraszam, już dalej wyliczać nie będę. Ażeby kwintesencyę z tych badań wyciągnąć, doszłoby się do przekonania, że te wszystkie wędrowne

ludy, rasy, plemiona przewidywały, że kiedyś ktoś napisze historyę Ukrainy-Rusi — dotychczas w siedmiu tomach — i umyślnie urządziły przyszłemu historykowi maskaradę: powykrzywiały twarze i pozmieniały nazwiska, ale w istocie to wszystko byli — „szczyri ukraińci“.

P. Hruszewskij ich odkrył, zdemaskował, poznał i pod właściwem nazwiskiem światu pokazał. Po ściślejszem badaniu okazuje się, że oni nawet hetmanów swoich mieli — tylko się nie nazywali hetmanami. Tam, gdzie dziś Polska, jeszcze bujały fale morskie; ponad płaszczyzną, gdzie dziś Warszawa, ponad wielką doliną, gdzie Kraków leży, przesuwały się jeszcze olbrzymie bloki wędrowne, ale Pan Bóg sypał już Piaskową Górę, bo wiedział, że kiedyś książę Lew zbuduje tutaj zameczek z chrustu, oblepi gliną i stolicę Ukrainy-Rusi założy. Zatem — zanim się jeszcze Polacy ni stąd ni z owąd wzięli, już Ukraina-Ruś istniała i, zdaje się, już się był nawet jeden Kozak narodził.

Ażeby historya Ukrainy-Rusi wypadła o ile można w największej ilości tomów, szanowny profesor, doszedłszy do czasów historycznych, kiedy brzydki kniżnik kijowski zapisał, że „S ł o w i a n i e s i e d l i n a d W i s ł ą i p r z e z w a l i s i ę L a c h a m i, c i ż s a m i (i ti że Słowienie) n a d D n i e p r e m n a z w a l i s i ę P o l a n a m i“, — począł już pisać na seryo historyę Ukrainy-Rusi, chociaż od czasów K a r a m z i n a (bywali i przed tem zuchwalcy) każdy historyk stanowczo twierdził, że był to początek historyi dzisiejszej Rosyi. Pień wspólny, ale, o dziwo, jedna gałąź rozwinęła się w sosnę, z której zbudowano szubienicę dla sąsiadów, aby się uczyli „porządku i posłuszeństwa“, — druga zaś wyrosła na giętką, pochylającą się na wszystkie strony wierzbę, na której najnowsi historycy ruscy, ale w Galicyi tylko hodowani, dostrzegli rosnące gruszki. Bywa to czasem. Zależy od ogrodnika. Wydobywszy się z okresu Rurykowiczów i doszedłszy szczęśliwie do mongolskiego rozgromu, p. Hruszewskij zatrzymał się chwilkę, bo przyszły takie brzydkie czasy, kiedy nic nie było godnego wielkiego historyka. Co było — zniszczyli Mongołowie. A było bardzo niewiele: było kilka książek kościelnych greckich, kilka modlitew w języku cerkiewnym, zaczątki prawodawstwa, pozbierane z różnych pisarzy i niewiele co więcej. Potem szanowny historyk opowiedział czasy z historyi litewsko-polskiej, od Olgierda aż do synów Jagiełłowych — i nazwał to historyą U k r a i n y-R u s i. Potem, od śmierci Jagiełły aż do r. 1654, kiedy

Chmielnicki poddał się Moskwie, to jest okres dwustu lat prawie istnienia państwa polskiego, nazwał także historyą Ukrainy-Rusi. Od roku 1654 aż do 1795 czcigodny profesor okaże się sprawiedliwym, bo opowie zapewne część dziejów Polski, a część Rosyi i nazwie to również historyą Ukrainy-Rusi. Później od r. 1795 przyjdzie kolej znowu na Rosyę, od 1772 — na Austryę i tak szczęśliwie zbudowaną zostanie pierwsza i największa historya Ukrainy-Rusi.

Dotychczas VII tom cały poświęcony historyi Polski, ale nosi tytuł Historyi Ukrainy-Rusi — Czasy kozackie, i kończy się rokiem 1625.

Tak wygląda plan wielkiego dzieła czcigodnego lwowskiego profesora historyi Ukrainy-Rusi.

* * *

Czytelnik polski niech się nie dziwi, że autorowi tych uwag, który z wytrwałością, godną lepszej sprawy, wszystkie tomy, tak zwanej przez czcigodnego p. profesora Hruszewskiego Historyi Ukrainy-Rusi przemłócił, nasuwają się pod pióro gorzkie i sarkastyczne słowa. Czy wolno czytelnikowi żartować z przeczytanej książki, tembardziej jeżeli ta książka jest historyą mało znanego w dziejach narodu, przez czas krótki hałaśliwego i niespokojnego, później podbitego, ujarzmionego, ogłupionego, zdemoralizowanego niewolą, któremu z niesłychanem barbarzyństwem zamknięto wszystkie drogi do samodzielnego umysłowego i narodowego rozwoju? Czy nie wygląda to na naigrawanie się z tego narodu? Nic łatwiejszego, jak taki zarzut zrobić — zła wola nie ma granic — ale nic trudniejszego, jak usprawiedliwić. Śmiesznym tu staje się nie naród nieszczęśliwy w życiu dziejowem, ale człowiek, który nakładem wielkiej pracy stara się ukręcić bicz z piasku, robi to z nadzwyczajnym wysiłkiem, z najpoważniejszą miną, ale nie dostrzega, że on tylko układa pracowicie ziarnka piasku, że one przystają do siebie, ale połączyć się nie dadzą; że w pracy jego braknie logicznego stosunku wysiłku do rezultatów; że nazywanie małych rzeczy wielkiemi nazwami jeszcze nie tworzy ani wielkości, ani zasługi; że pracowite zbieranie faktów i dat jeszcze nie jest historyą narodu. Fakty i zdarzenia muszą być związane ze sobą logiczną przyczynowością dziejową, musimy rozpatrywać je na tle prawdziwem, wnioskować prawidłowo, nie podsuwając przesłanek, które nie dadzą się w życiu dziejowem odszukać, nie podkładając pod nie

nowożytnych teoryi socyologicznych i nacyonalistycznych, które w pewnych okresach nie objawiały się wcale i na szali życia pewnego społeczeństwa nie ważyły.

Dotychczasową całością historyi Ukrainy-Rusi p. Hruszewskiego zajmować się nie będę. Każdy tom tej historyi wymaga innego pióra. Ja mam na myśli tylko czasy kozackie (t. VII). Ale i co do tych czasów nie piszę wcale krytyki. Krytyka tego tomu równałaby się zupełnemu przerobieniu jego. Należałoby zostawić fakty tylko i chronologię, jako szkielet budowy, wszystko zaś, co stanowi własność autora, bądź jako pogląd na pewne zdarzenie, bądź jako wniosek historyczny, należałoby przyjąć z wielkiem zastrzeżeniem, a niekiedy odrzucić w całości, jako rozumowanie błędne, przystosowane do tezy z góry postawionej. Jakkolwiek wogóle wszelkie marzenia o objektywności historyka pozostaną tylko marzeniem, tylko dążeniem do tego marzenia, to o p. Hruszewskim można powiedzieć, że on subjektywizm posunął do granic ostateczności, skutkiem czego fakty i zjawiska bardzo często nabierają charakteru fantazyi na tematy historyczne.

Wymagania naukowe szanownego profesora lwowskiego są nadzwyczajnie wielkie — w obec innych; w obec siebie samego jest on nietylko wyrozumiałym, ale nawet bardzo zadowolonym sędzią.

O naukowości historyi posiada on tak wielkie pojęcia, że zbliżyćby się mogli do tej wysokości tylko profesorowie kijowskiego uniwersytetu — Włodzimierz Antonowicz i Władimirskij Budanow — „i to ne duże". Jako dla przedstawiciela nauki historycznej, „naukowość" według pojęć szanownego profesora jest czemś podobnem do tabu, do tajemnic, dostępnych tylko kapłanom egipskiego byka. On czuje się przeto słusznie powołanym, jak się wyraził inny nie tyle uczony, ile również zadowolony z siebie mąż, „do sprawowania kontroli naukowej". System ten polega na tem, że przy pomocy przyjaciół albo osobiście, głosi się urbi et orbi, że oto — jestem ja, a koło mnie pigmejczycy godni tylko kopnięcia. Tak też robi p. Hr. z powagą wysoce naukową. Ażeby zrozumieć ten system, którym się p. Hr. posługuje bardzo swobodnie, przytoczę opowiadany mi fakt, ilustrujący tę bakałarską metodę, która à tout prix wymaga, ażeby profesor był mądrzejszy od ucznia. Zrobił to inny również uczony mąż. W pewnym artykule jakiemuś chu-

demu autorowi zdarzył się lapsus linguae: napisał zamiast Paleolog: — Kommen, ale spostrzegłszy się w czytaniu, a nie mając pióra pod ręką, zrobił na marginesie kreskę ołówkiem i zanotował: „Paleo“. Uczony profesor, idąc zwykłą drogą poprawiania zeszytów szkolnych, wyjaśnił zbrodniarzowi obok kreski, wskazującej omyłkę — omyłkę. Gdyby był poprawił na Paleolog, zrobiłby rzecz i taktowną i rozumną; napisawszy cały traktacik, wyjęty z podręcznika, popełnił czyn arogancki i niepotrzebny, chociaż według wysokiego mniemania o sobie — poprawił nieuctwo cudze, sprawował „kontrolę naukową“.

To samo robi p. Hruszewskij z wyrokiem bez apelacyi, ile razy tylko natrafi opinię sprzeczną z jego poglądem, lub ile razy trzeba lub można poprawić błąd zecerski w korekcie. A wyroki jego bardzo surowe. Posłuchajmy tylko, jak on ostro sądzi kolegów po piórze. Prawdziwym bête noire szanownego profesora jest dr. Antoni Prochazka. W „Przyczynkach krytycznych do dziejów unii“ sprawę wyznania — według mniemania p. Hr., autor traktuje „duże ne mudro“; artykuł tegoż samego autora p. t. „Dwie koronacye“ jest „bidny z mistom“. Artykuł „Odzyskanie Trembowli w r. 1390“, traktujący o wyprawie do Galicyi i o zdobyciu Trembowli „wid poczatku do kińcia zbudowanyj na pisku“. Szajnocha w dziele „Jadwiga i Jagiełło“ „dywinacijeju nadrobluje brak hłubszych studyj“. Smolka w „Pięciowiekowej rocznicy“ daje „zabahało fraz i poetycznych potuh, a duże mało naukowoho doślidu — odna z najsłabszich robit krakiwśkoho profesora“. Brückner, pisząc o „Litwie starożytnej“, dał pracę „dosyt' ne naukowu“. I swoim także nie darował. O Storożence powiada, że dzieło jego p. t. „Stefan Batorij i dnieprowskije kozaki“ „napysano duże pretensiozno“. O „Izśliedowaniach“ Pogodina, a raczej o autorze samym napisał, że to „obmeżenyj czołowik“. Jak się te piękne wyrazy przekładają na język kulturalny, pozostawiam to domyślności czytelnika. Niekiedy szanowny profesor wydaje sąd, że tak powiem jeneralny — negatywny, dając do zrozumienia, że dopiero z pod pióra jego wychodzą rzeczy doskonałe. O powstaniu Glińskiego powiada, że „w najnowszej literaturze nie było dobrze opracowane. Specyalne prace (dotyczące tego przedmiotu) wogóle są bez wartości“. Równie po kozacku sądzi sz. profesor lwowskiego uniwersytetu wypadki polityczne. Pisząc o walce Jagiełły

ze Świdrygiełłą i przymierzu, zawartem przez Swidrygiełłę z królem polskim, które obejmowało także Niemców i Wołochów, czcigodny profesor z umiarkowaniem, właściwem człowiekowi tak wysokiej nauki, powiada: „jeżeli przypuścimy, że Świdrygiełło wówczas wiedział już o planach niemieckich wyprawy do Polski, to jego ugoda z Jagiełłą była ostatniem głupstwem, jakie tylko sobie można wyobrazić, a Świdrygiełłę trzebaby nazwać durniem najczystszej wody“. („Swidryhajła treba-b p r y z n a t y d u r n i e m c z y s t o j w o d y“). A jeżeli nie wiedział? W każdym razie jest to określenie nie tyle przyzwoite, ile poetyczne; nie tyle prawdziwe, ile zapewne — naukowe.

Wyliczam tu sądy i poglądy sz. profesora uniwersytetu lwowskiego w bardzo małej cząstce tylko. Czytając je, nasuwa się pytanie: czy to nie jest czasem obłęd pychy człowieka, zadowolonego jedynie ze siebie samego?

Widzieliśmy, jak sz. profesor jest surowym na punkcie wymagań naukowych. Zdawałoby się przeto, że sam nietylko doskonale zna podstawy naukowości w historyi, ale je stosuje do swoich badań z surowością taką samą, jakiej wymaga od innych. W tym punkcie nie przedstawia się, niestety, wszystko tak gładko, jakby się spodziewać należało. Odzierając innych z zasług i wiedzy z zimną krwią, sam jest niesłychanie wrażliwy, gdy ktoś z jego uczoności żartuje. Gdy prof. J. A. L i n n i c z e n k o w polemice o „G r a m o t y k n i a z i a L w a“ podkpił sobie z sz. profesora historyi Ukrainy-Rusi, p. Hr. obraził się i zamiast przekonać przeciwnika, napisał, że — „jego sposób polemizowania używany bywa przez fejletonistów, ale dziwnym się wydaje u człowieka nauki“ („maniera izpolzowania raznymi rozwiaznymi fejlietonistami, no w sorjoznom uczonom jejo widiet' dowolno stranno“).

Wróćmy na chwilę do naukowości w historyi, ażeby się z nią później zapoznać w pracy p. Hr. Widzieliśmy, jak ostro potępia sz. profesor brak „naukowości“ u innych. Jakże ją sam stosuje w swojej historyi U k r a i n y - R u s i? Ażeby dać odpowiedź na to pytanie, musimy przypomnieć sobie, jakie są kardynalne podstawy naukowości w historyi; co jest niezbędnie potrzebne, ażeby praca historyczna odpowiadała wymaganiom nauki. Pominąwszy wszelkie nauki pomocnicze, które muszą wspierać historyę i historyka, a są używane, że tak powiem, w jego warstacie tylko, niewidzialne dla czytelnika, są jeszcze pewne wymagania, niezbędne dla człowieka, pracującego na polu history-

cznem. Dają się one ująć w trzy najprostsze pozycye: zgromadzenie faktów, krytyka faktów i interpretacya faktów, a z nią połączone wnioski, odnoszące się bądź do pewnej grupy faktów lub zjawisk dziejowych, bądź też do pewnego okresu, obejmującego większą grupę mniej lub więcej identycznych zjawisk. Trzy powyższe czynniki muszą przedewszystkiem działać wspólnie i w związku ze sobą, ażeby pracy historycznej nadać charakter naukowy. Mniejszy lub większy współudział tych czynników w pracy, jakoteż logiczny ich związek i zależność od siebie, stanowić jedynie mogą o wartości naukowej każdej pracy historycznej. Można być obdarzonym olbrzymią pamięcią i zatrzymać w niej zdumiewające mnóstwo faktów, co może stworzyć genialnego kompilatora; można posiadać pewną bystrość w ocenianiu prawdziwości dokumentów, która, wsparta pamięcią, stworzyć może znakomitego wydawcę źródeł dziejowych. Ale zdolność w jednym i w drugim kierunku wykazana, wchodzi wprawdzie w zakres historyi, a w drugim wypadku produkować może prace ściśle naukowe, dla historyka jednak, obejmującego szeroki zakres dziejów, to nie wystarcza. On musi dać czytelnikowi nietylko fakty prawdziwe, krytyką, o ile możności, oczyszczone, ale dać mu także rozumowane pojęcie o tem, jakim w istocie był ten okres w dziejach i czem był w państwie, dla państwa, w polityce wewnętrznej i zewnętrznej, czyli, mówiąc krótko, wytłumaczyć pewne zjawiska dziejowe. Wytłumaczenie tych zjawisk nietylko nie powinno być subjektywne, ale powinno wynikać bezpośrednio z faktów, z któremi historyk zapoznał czytelnika. Tylko w takim razie cała praca historyczna może mieć naukowy charakter. Gdzie tego niema, gdzie ścisłość logiczną zastępuje subjektywizm, tam w umyśle czytelnika tworzy się pewna niejasność, wynikająca z niezgodności między przesłankami a wnioskiem; takiej pracy zatem, chociażby ona była imponująco wielką, chociażby bałamuciła wszelkimi pozorami uczoności, nie można nazwać, w odniesieniu do historyi, naukową.

Rozpatrzmy, jak i o ile tym zasadniczym postulatom odpowiada ta część historyi polskiej, którą p. Hr. podobało się nazwać historyą Ukrainy-Rusi — mianowicie tom VII — Czasy kozackie do r. 1625.

Dotknąć pozwolę sobie kilku punktów tylko.

Zgromadzenie faktów jest w historyi sz. profesora zdumiewające. Czyni to zaszczyt jego pamięci i pracowitości. Śmiałbym

powiedzieć, że on nawet nadużywa swoich zdolności w tym kierunku, jakby popisuje się przed czytelnikiem wielką swoją pamięcią, bo do spraw i rzeczy już wyjaśnionych przytacza dowody bez potrzeby. W niczem już one do wyświetlenia rzeczy nie przyczyniają się, są często balastem tylko i zamiast wyjaśniać — mącą opowiadanie. Krytyka faktów jest również prawie zawsze bez zarzutu, natomiast interpretacya zjawisk nietylko jest absolutnie błędną, ale wprost nielogiczną, samowolną, posuniętą do granic subjektywizmu tak wielkiego, że opowiadanie przestaje być historyą, a staje się albo publicystyką, albo naciąganiem historyi do tez polityki i socyologii współczesnej, nie posiadających żadnej łączności z przeszłością.

Ażeby zarzuty moje nie były gołosłowne, wezmę przykłady z historyi p. Hr.

Było i pozostanie zawsze dla historyka rzeczą i wskazówką pierwszorzędnego znaczenia, jak na pewne zdarzenia, wypadki lub zjawiska dziejowe zapatrywali się ludzie współcześni w tem państwie, w którem to zjawisko miało miejsce. Jeżeli my domyślać się, odgadywać, wyszukiwać musimy przyczyny, które je wywołały, to oni bardzo często znali je, a nieraz własnemi oczyma patrzyli na genezę tych przyczyn. Stąd świadectwa ludzi współczesnych, oczyszczone z wpływów postronnych i zakulisowych impulsów, muszą mieć dla historyka zawsze prawie znaczenie pierwszorzędne w ocenianiu zjawisk dziejowych, muszą służyć za podstawę do wniosków i szerszej charakterystyki tego zjawiska ze stanowiska państwowego.

Sz. profesor lwowskiego uniwersytetu za mało liczy się z sądem i poglądem współczesnych ludzi, a to tam nawet, gdzie liczenie się z niemi siłą rzeczy jest konieczne; prawie zapomina o nich, a sąd historyczny opiera na własnych socyologiczno-politycznych tezach, nie mających absolutnie żadnego związku z przeszłością. Czytelnik przeto, który nie łączy polityki współczesnej z historyą i nie stoi na stanowisku nacyonalistycznem autora, odrazu spostrzega różnicę, zachodzącą między szeregiem faktów, składających się na charakterystykę pewnego zjawiska, a interpretacyą tych faktów, nie stojącą w żadnym logicznym związku z analizą krytyczną. Współczesność tak dalece pochłania całą umysłowość autora, że on nie dostrzega nawet rozdźwięku między opowiadaniem faktów, a ostatecznemi wnioskami, które siłą logiki same nasuwają się. Ażeby scharakteryzować tę me-

todę, użyję porównania. Zwykle 2+2=4, a u p. Hruszewskiego jest 5. Jakim sposobem? Rzecz bardzo jasna i prosta, tylko my, zwykli pigmejczycy, zrozumieć tego nie możemy. Każda liczba składa się z dwóch całości, a zatem jest cztery całości, a ponieważ znak + jest sam dla siebie także całością, a zatem 2+2=5. Tak wygląda interpretacya faktów, odnoszących się do charakterystyki kozaczyzny u p. Hr. Możemy to sprawdzić.

Kozaczyzna w granicach państwa polskiego nie była zjawiskiem, któreby powstało samorzutnie w ciągu krótkiego czasu; przeciwnie, wiemy, że ona tworzyła się powoli w ciągu półtora wieku prawie, że w tym okresie nie była czemś w formacyi swojej zakończonem, przeciwnie, przekształcała się bardzo znamiennie. Z tatarskich łotrzyków (latrones, latrunculi), z kafińskich najemców (cosachi orgusii seu homines Caphae), stawali się powoli na prawym brzegu Dniepru „dobycznikami", rabującymi karawany stepowe, „milites Boristenis, Boristenes kozaki", wreszcie kozacy „Nizovii", „panowie mołojcy", żyjący „chlebem kozackim", czyli, mówiąc krótko: rozbojem, rabunkiem, łupieniem czabanów tatarskich. Dopiero od chwili, kiedy wchodzić poczynają na służbę Rzpltej, stają się poprostu jurgieltnikami, najemcami, „regestrowymi kozakami", rozpoczyna się pośród nich prawidłowa wojskowa organizacya i wytwarza się potrzeba i usiłowanie przerabiania tej organizacyi na klasową. Wzmacnianie się szeregów kozaczyzny od początku XVII w. po wojnie Dymitra, kiedy nareszcie wróciła z Moskwy cała hałastra awanturnicza, przyniosło najgorsze rezultaty. Wzrastająca wojskowo liczebnie kozaczyzna, spajana coraz silniej pierwiastkiem klasowości, nietylko nie straciła swego pierwotnego charakteru, ale wystąpiła agresywnie w obronie praw klasowych, nadając im tytuł „swobód i przywilejów". Żądania te, jako postulaty polityczne i społeczne, nigdy nie były ujęte w formuły jasno określone i objawiały się jedynie dążeniem do powiększenia „regestru" wojska, aby przez powiększenie zwiększyć ilość ludzi, uprzywilejowanych do pewnego stopnia, i tym sposobem wytworzyć klasę, warstwę na wzór szlacheckiej w Polsce. Było to po prostu dążenie do zdobycia dla siebie czegoś podobnego do władzy reprezentacyjnej w granicach terytoryalnych, nieokreślonych bynajmniej — między Kijowem a Niżem. Dążenie to poczęło się objawiać dopiero w pierwszej ćwierci XVII w., a nawet za hetmaństwa S a h a j d a c z n e g o daje się spostrzec pewien zmysł polityczny ze strony kozaczy-

zny, który mógłby był otworzyć dla narodu ruskiego nową, lepszą przyszłość. Górę jednak wzięło warcholstwo żołnierskie, kozackie, które, szukając „kozackiego chleba“, zaostrzało stosunki państwowe i na błędną drogę pchnęło przyszłość swoją i narodową.

W tym okresie rozwoju kozaczyzny, który autor bez żadnego uzasadnienia zamknął rokiem 1625, gdy raczej zamknąćby wypadało śmiercią Batorego, nie dostrzegamy z jej strony żadnych dążeń narodowych, żadnych ideałów społecznych, żadnych pretensyi politycznych, chociażby sposobem napomknienia wypowiedzianych.

Istotę pierwotnej kozaczyzny p. Hr. doskonale rozumie. „Rozbójniczo-wojskowy przemysł tatarski — pisze — przykładem swoim wpływał na organizacyę analogicznego wojenno-rozbójniczego przemysłu wśród ludności ukraińskiej“, — ale natychmiast sam osłabia własne rozumowanie, utrzymując, że z „obronnej organizacyi“ — jaką kozaczyzna w ciągu całego XVI w. nie była nigdy — „przekształciła się w rzemiosło zaczepne, agresywne“ (VII, 61). Nieskończone skargi na rabownictwo kozackie, których przytaczać nawet nie będziemy — tak są one znane — wskazują, że kozaczyzna od początku swego aż do pierwszej ćwierci XVII w. — jeżeli już mamy przyjąć okres p. Hr. — nie była wcale „organizacyą obronną“, jako świadomy cel i odruch narodowy, ale wyłącznie organizacyą rabowniczą. Dość czytać skargi hanów krymskich i sułtanów tureckich o łupienie czabanów, o rabunki stepowe, o rozboje oczakowskie. Nie trzeba tylko łączyć wypraw kozackich na Wołoszczyznę i w Dzikie pola, jak to robi p. Hr., z wyprawami starostów pogranicznych, z polecenia państwa, dla odpędzania Tatarów, „przepłoszenia“, jak mówiono, od granic lub osłabienia ich siły.

P. Hr. wie dobrze, co myślą o Kozakach Heidenstein, Piasecki i inni; zna wybitniejsze rabunki stepowe, najazdy na Oczaków, a szczególnie z r. 1545, skutkiem wydanej w tym przedmiocie całej korespondencyi między Zygmuntem I a Zygmuntem Augustem i Solimanem; wie, jak się na to zapatrują Turcy, starostowie pograniczni i państwo polskie; wie, że „Kozacy kijowscy i czerkascy zajmują się przemysłem rozbójniczym w stepach“, że „mieszkają w stepach, jak dzikie zwierzęta, żyją z rabunku, żadnej władzy nie podlegają“ (VII, 79); wie, że „w pierwszej połowie XVI w. i w środku jeszcze koza-

czyzna składała się z bezdomnej hołoty, z ludzi swawolnych. Nazwy Kozak używano tylko w pogardliwem znaczeniu“ (VII, 100).

Już nawet w momencie silniejszej organizacyi wojskowej kozaczyzny i wzrostu jej skutkiem napływu swawolnych żywiołów z północy i północno-wschodniego sąsiedztwa, a nawet z macierzystej Polski, niema wśród tej kozaczyzny żadnej idei przewodniej ani politycznej, ani narodowej, nie widać żadnego śladu, któryby wskazywał na walkę kozackiego żywiołu z nienawistnym mu jakoby ustrojem państwowym Rzpltej. Przeciwnie, Kozacy występują z jednej strony jako rabownicy, z drugiej jako organizacya wojskowa, gotowa pójść na żołd więcej dającemu i przelewać krew swoją bynajmniej nie za ideę, lecz za pieniądze. Daje nam o tem jaskrawe pojęcie E r y k L a s s o t a, znany dobrze sz. profesorowi i streszczony przez niego również dobrze. Ten zniemczony Ślązak przedstawiał fakty tak, jak je widział, bez ornamentów polityczno-narodowych historyków kozackich.

Austrya była zbyt blisko Polski, ażeby nie widziała, co się w niej dzieje, ażeby nie spostrzegła, że na kresach Rzptej rozwija się żywioł wojskowy, dla państwa polskiego szkodliwy, ale Tatarom i Turkom groźny z powodu dzikości, z jaką walkę prowadził. Austrya, obawiając się najazdu tatarskiego i tureckiego na Węgry, umyśliła zrobić pewnego rodzaju dywersyę i nająć do tej roboty Kozaków. W a k e r jeździł do Moskwy i do Polski (1593), ażeby się czegoś o Kozakach dowiedzieć. Moskwa charakteryzowała ich jako „ludzi bardzo zdatnych do wojny rabowniczej, ale swawolnych i niepewnych“. Wkrótce miała się przekonać sama o tem.

W jesieni 1593 Ł o b o d a najechał znienacka Dżurdżewo, zniszczył i zrabował okolicę i wrócił bez strat. Nic nie wiemy o tem, ażeby rabował w imię obrony narodu ruskiego. Następnego roku w marcu Niżowcy zrabowali Białogród — nie chwaląc się także tem, że bronią religii chrześcijańskiej od „niewiernych“. Wyprawy te zachęcały jednak Austryę. Dla wynajęcia Kozaków wysłano L a s s o t ę, który na Niż przyjechał w czerwcu dopiero, ale przywiózł ze sobą tylko 8000 dukatów. Było to mało. Kozacy byli niezadowoleni wyraźnie. Od najazdu na Turcyę wymówili się. Proponowali Perekop, Kilję, Babadah — bliższe i pewniejsze miejsca. Słowem, występowali jako żołdacy do wynajęcia, określając jasno charakter swój i żądając rocznej formalnej umowy. Tego rodzaju porozumienie nietylko nie było obroną własnego

kraju i społeczeństwa, ale przeciwnie, sprowadzało na nie zemstę turecką i tatarską, która nie miała wcale innego charakteru, jak odwet za najazdy kozackie na Kilję, Białogród, Tehinię, Oczaków. Stanowisko zatem kozaczyzny było niesłychanie szkodliwe przedewszystkiem dla narodu ruskiego, a następnie dla państwa polskiego, które z powodu swawoli kozackiej nieraz musiało się w wojnę zaplątać.

Otrzymuje się wrażenie, że sz. profesor po prostu nie chce rozumieć właściwego charakteru, właściwej roli kozaczyzny w państwie polskiem, a rad jest, gdy znajdzie bodaj najmniejszą sposobność do obrony swawoli państwowej. Gdy Lubieniecki (Poloneuticha, 30) powiada, że za Augusta „ruskie kraje miały dosyć ochotnej i grzecznej młodzi, z którymi mieli co czynić Tatarowie, oganiając się im“, a wyliczając Sieniawskich, Strusiów, Herburtów, Pretficzów, Zamojskich, Potockich, Włodków, xx. Wiśniowieckich, Zbaraskich, Zasławskich, Koreckich, Różyńskich i in., mówi, że „za myślistwo to sobie mieli albo sami w Pola chodzić, albo czeladź i poddanych swych wyprawować“ — sz. profesor, utożsamiając obronę granic z wyprawami rabowniczemi rozmaitych watażków, jak Hołubeć, Żyła, Sołtaneć, Worocza i w. in., stawi ich na równi z tymi, którzy z obowiązku państwowego bronili południowej granicy Rzptej polskiej, i nazywa zwykłe kozackie rozboje „partyzancką wojną“ (VII, 107). Jeżeli nie zawsze dostrzegali tę różnicę Turcy i Tatarzy, można się temu nie dziwić, ale nie dostrzega jej także historyk Ukrainy-Rusi. A jednak różnica ta nasuwa się sama przez się skutkiem zapoznania się z konstytucyą, mającą regulować porządek na Nizie i Ukrainie. (Volumina legum II, f. 1330). Tam przedstawia się rzecz jasno, jak rozumiano „kozactwo“ i czem ono było.

Przedstawiwszy na podstawie faktów kozaczyznę XVI w. jako siłę anarchiczną w państwie, dochodzi do wniosków, uogólnień i poglądów absolutnie niezgodnych z charakterem faktów: „(kozaczyzna) — pisze on — w znacznej mierze wyrobiona, zorganizowana, pełna poczucia swojej siły — moralnej i fizycznej, jako odrębne ciało polityczne(!), z Dnieprowego Nizu, który był jej ogniskiem i prawowitem posiadaniem (pryznannym wołodyńnom), w r. 1590 wyruszyła „na włość“, w sąsiednie kraje ukraińskie pod polsko-szlacheckiem prawem, — i nagle stała się

zupełnym gospodarzem tych krajów" (VII, 305). Nie jest-że to dowolne pomięszanie rzeczywistości z fantazyą — iście kozacką? Można mówić do pewnego stopnia o zorganizowaniu się, o sile fizycznej, ale „siła moralna" i „odrębność polityczna" kozaczyzny zakrawa na gorzką ironię wobec słów kronikarza ruskiego, który jeszcze w połowie XVII w. naiwnie pisał, że „Kozacy mieli zwyczaj skórę z żywych zdzierać". Jeżeli to jest moralność tatarska — to zgoda. Bohaterstwem nazywały ludy, zamieszkujące te kraje za czasów Herodotowych, obcinanie głów nieprzyjaciołom i zawieszanie ich na trokach przy siodle. Większym bohaterem był ten, kto więcej głów ludzkich zawiesił. Ale Herodot o „sile moralnej" takich bohaterów nic nie pisał. Nazywał ich po prostu barbarzyńcami.

Tembardziej trudno godzić ową „obronę ludności" przez Kozaków z odrębnością polityczną. Nie mieli jej nigdy, co gorsza, nie rozumieli jej nawet w pierwszej ćwierci XVII w. W mętnej głowie Chmielnickiego świtać ona zaledwie poczęła, i to dzięki podpowiadaniu Kisiela; w latach 1656 i 1657 poruszał ją hetman Subotowski w pertraktacyach swoich z Karolem Gustawem, ale nie wiedział, jak się do tego zabrać, jak i kiedy począć — i tak mącił aż do śmierci. Myśl tę podsunęli Wyhowskiemu Polacy, ale i tym razem nic stanowczego i trwałego nie podobna było stworzyć. Nie było z kim tworzyć odrębnej Ukrainy - Rusi, bo starszyzna kozacka poza „wolności i przywileje" klasowe, wojskowe, ani o krok naprzód posunąć się nie umiała. A cóż dopiero w okresie rozbojów i rabunków Nalewajkowskich, kiedy kronikarze zapisywali tylko jego czyny: Kryczów wziął, Bychów wyciął, Mohylów spalił — i tak bez końca.

Widzimy, że u sz. autora ustawicznie fakty są w niezgodzie z wnioskami, że nad logiką historyczną góruje dzisiejsza myśl polityczna, chęć przerobienia koniecznie zwykłych rabowników na bohaterów narodowych i ideowych XX wieku; chęć usprawiedliwienia wielkimi jakimiś zamiararni i celami swawoli państwowej Kozaków; chęć przerobienia anarchii zbójnictwa na bohaterstwo historyczne. Ideowy ów podkład usuwa się, rozpada się w nicość wobec tego, ze sama ludność ruska traktowała kozaczyznę, jako wroga swego. Fakty te są dobrze znane sz. profesorowi. Dzięki brakowi stanowczości rządu polskiego, watahy kozackie włóczyły się nietylko po Dzikich Polach, ale i wewnątrz

kraju dla rabunków. Byle jaki watażka przybierał tytuł hetmana, zbierał kupę, gdzie mógł, włóczęgów i próżniaków, i własnych współbraci rabował. Lukjan Czerniński zrabował w ten sposób Kodnię (1586), jakiś Czarnowyćkij napadł na Bychowską włość, kazał sobie dawać saletrę, siarkę, ołów, przemocą zabrał bydło, żywność, a ludność maltretował w najrozmaitszy sposób (VII, 171). Pan Hruszewskij wie o tem, a możnaby tysiące takich przykładów przytoczyć, a jednak nie przeszkadza mu to głosić uczniom swoim, że Kozacy byli „obrońcami ludu“ (to samo: Archiw Jugozapadnoj Rossii, cz. VII, t. I, str. 78—83).

Wobec tych sprzeczności, na które czytelnik w historyi Ukrainy-Rusi p. Hr. natrącać się musi, ciągle się spostrzega brak związku między faktami a wnioskami; najbardziej jednak uderzającemi są jego poglądy, wysnute i sformułowane, jako charakterystyka badanego okresu i zjawiska. Tu rozbieżność jest tak wielka, że poprostu zdumiewa.

Określiwszy sam kozaczyznę jako rozbójnictwo, jako swawolę, a trzeba pamiętać, że w tym charakterze przetrwała aż do końca XVI w., z wyjątkiem małej garstki zorganizowanych przez rząd polski Kozaków; przyznawszy, że jeszcze w środku XVI w. „se buła peredowsim bezdomna hołda, neprykajanni lude“ — nie waha się powiedzieć, że ta sama kozaczyzna „już na początku XVII w. jest organem społecznych i narodowych walk narodu ruskiego“ (VII, IX), że już „w drugiej połowie XVI w. staje się socyalnym protestem przeciwko polsko-szlacheckim rządom“ (ibid.), że z kozaczyzną rozpoczęło się „odrodzenie narodu“ — (VII, I). Należałoby raczej powiedzieć, że warcholstwo kozackie zaplugawiło cały naród ruski, wybiło go z równowagi, zaszczepiło zarazek anarchizmu, oderwało od pracy, wplątało w wojnę domową niszczycielską i nieszczęśliwą, oddało naród i siebie dobrowolnie w niewolę obcego państwa, — jednem słowem, kozaczyzna nie odrodziła, ale powstrzymała rozwój prawidłowy, a wpływ jej okazał się tylko z ujemnej strony. Broszurkowe hasła i tematy nie dadzą się zastosować do wyjaśnienia zjawisk dziejowych.

Tyle o samej kozaczyźnie, o faktycznej stronie materyału i o tezach politycznych sz. profesora, który przeszczepił na grunt galicyjski politykę, propagowaną niegdyś przez Kostomarowa i najbliższego jego naśladowcę — Włodz. Antonowicza

Z równem bałamuctwem traktuje p. Hr. ustrój kozaczyzny i stanowisko państwa polskiego wobec prowincyi kresowych. Nie wysnuwa on bynajmniej wniosków z życia kozackiego, lecz narzuca je jako własne — nie tyle własne, ile dawniej sformułowane. — Autonomię kozacką, z wybieralnym wodzem i starszyzną mimowolnie może łączy on z „narodoprawstwem“ dawnych gmin, w których miała panować idealna równość i szczęśliwość (VII, 286). Kozaczyzna od początku istnienia, gdy byle watażka przybierał tytuł hetmana, miała przedewszystkiem organizacyę do pewnego stopnia ekonomiczną: rabowano wspólnie, do jednego miejsca składano zrabowane rzeczy i dzielono się porówno. Musiał być przeto ktoś zaufany do czuwania nad podziałem i nad sprawiedliwością. Nie trzeba sięgać do czasów idyllicznych, kiedy wilcy pasali owieczki. Dziś jeszcze nietylko każda „artiel“ wybiera „starszynę“ i sędziów, ale każda wataha katorżników, wędrująca na Sybir, robi to samo, — wynika to z konieczności, z potrzeby, zaspakaja pierwotne wymagania przypadkowego lub przymusowego zrzeszenia, ale nie wynika wcale z pobudek idealnych. Widzieliśmy, czem były takie kozakoprawstwa w czasie wyborów hetmana po Chmielnickim: ową „radę demosu“ — jak hucznie nazywa p. Hr. „kozackie koła rycerskie“ — kupował byle kto za byle co i kierował nią, gdzie chciał. W połowie XVII w. na Siczy degenerowała ona do tego stopnia, że zwyciężał ten, kto wytaczał większe beczki miodu i gorzałki, a przed rozhukaną czernią trzeba było karczmy zamykać. W takich organizacyach i śród takich ludzi niema zwykle miejsca na „odrodzicieli narodów“.

P. Hruszewskiemu wszystko w Polsce nie podoba się, wszystko jest złem. Różne rzeczy różnym ludziom podobać się mogą. Powiadają — zdaje się o P o ł u b o t k u, hetmanie nakaźnym — że kiedy go powołano do Petersburga i oćwiczono, wychodząc z zimnej łaźni, rzekł do swego kolegi, który nie przyjął tej oćwiki, wesoło: „a szczo, dobra mośkowska pużka? Zawezim do domu taku samu i naszim żinkam“. Może p. Hr. w samej rzeczy lepiej smakują porządki moskiewskie i „moskowśka pużka“.

Kiedy Tatarzy, a potem Turcy opanowali brzegi Czarnego morza i rozpoczęły się częste wpadania ich w kraje południowe, najprzód Litwa, a później Polska poczęły myśleć o obronie. Zbudowano zamek w Kijowie, w Czerkasach, w Bracławiu, Win-

nicy, Barze, wzmocniono Kamieniec; trzymano w zamkach stałą straż, „drabów“, od 60 do 1000, stosownie do potrzeby i obronności zamków, o zaopatrywanie ich w broń starano się usilnie, wysuwano głęboko w step pikiety strażnicze, zobowiązywano ludność miejską, najczęściej bez różnicy klasowej, do występowania zbrojno razem ze starostą lub jego zastępcą przeciw nieprzyjaciołom-Tatarom — słowem, robiono bardzo wiele do obrony południowych granic. Sz. profesor wie o tem doskonale z rewizyi zamków, z lustracyi starostw, z korespondencyi współczesnej. Tak przedstawiała się główna linia faktyczna. Nie chodzi nam o szczegóły. A jednak to nie przeszkadza p. Hr. utrzymywać, że Rzpta polska nic nie robiła dla obrony granic. Z ironią cytuje słowa lustratorów, że jedna armatka „ma koniec urwany“, a druga „dwie dziury“, zapominając o tem, że w arsenale najpotężniejszego państwa nowożytnego znaleźć się także mogą armaty nie do użycia i że o sile obronności kraju one nie decydują wcale. Gdyby był powiedział, że Rzpta niedostatecznie broniła kresów, byłby bliższym prawdy, ale dla wyjaśnienia rzeczy trzeba było powiedzieć, że linia obronna była na krańcach wielkiego państwa, a komunikacye w dzisiejszem znaczeniu nie istniały prawie; że ta linia ciągnęła się od Dniepru aż po Karpaty, że geograficzne położenie stepowych prowincyi Rzptej nie tworzyło żadnej tamy dla tatarskich najazdów; — przeszedłszy Dniepr pod Tehinią, Tatarzy przemykali się między lasami, jarami, bałkami, a wyśledzić ich można było dopiero z chwilą, gdy śród zaludnionej okolicy zjawiali się. To wszystko winy polskie bardzo zmniejsza, tembardziej, że ludność ruska, która chętnie brała udział w „kozakowaniu“, zamiast bronić się, gdy napadali ją Tatarzy, chowała się po lasach. Te wszystkie okoliczności powinien był przecież uwzględnić historyk, tak wiele wymagający od innych, w stopniu odpowiadającym rzeczywistości.

Dzieje powstania i rozwoju kozaczyzny do końca pierwszej ćwierci XVII w. przedstawiają się jako jeden akt oskarżenia przeciwko Polsce — administracyi, polityce, stosunkom. Kozacy są — „rycerstwem“ (VII, 137), rozboje — „sportem“ (VII, 65) lub „partyzancką wojną“, kozaczyzna jest postępowym czynnikiem — czemś w rodzaju klubu reformy — występująca „jako reakcya przeciwko państwowości polskiej“ (VII, 72).

Zwymyślawszy, jak widzieliśmy, swoich kolegów po piórze w imię „sprawowania kontroli naukowej“ — jak się wyraził inny

nieomylny historyk — p. Hr. jest tego mniemania, że dał pracę naukową, chociaż naukowość jego, mimo wszelkich pozorów, rzadko się godzi z elementarnemi podstawami nauki historycznej. Ale spierać się na tym punkcie z szanownym profesorem nie będę. Można posiadać wielką wiedzę historyczną i nie naukowo traktować swój przedmiot. Taki wypadek zachodzi właśnie teraz.

Jeden z najszlachetniejszych patryotów ruskich, jedyny może w tem ubogiem społeczeństwie, pod względem rozległości i głębi, umysł — Kulisz, lekceważony przez pionków dzisiejszych, wyhodowanych we wzajemnem zadowoleniu ze siebie, nazwał tego rodzaju poglądy, które wypowiedział p. Hr., „dziedziczną chorobą zdrowego zmysłu“. „Choroba ta — powiada dalej — przechodząc z pokolenia w pokolenie, odbiła się w literaturze belletrystycznej i historyi. Nasze małorosyjskie powieści (Kulisz liczył się z etnografią i dla tego nie znał Ukrainy-Rusi), dramaty, poematy, liryczne poezyę, odnoszące się do przeszłości, pełne są dziecinnego szczebiotu o sławie kozackiej — tych Kozaków, głupich (bezrazsudnych) i bezlitośnych niszczycieli nietylko sąsiednich krajów, nietylko obcych narodów, lecz pokrewnych im krwią i religią“. „Rozpijaczonym dobycznikom z obu stron Dniepru dawaliśmy nazwę patryotów i obrońców prześladowanej religii, a przechowując jeszcze sami w sobie dzikie instynkty rodzinnego kraju, otaczaliśmy chwałą czyny, pozbawione wszelkich cech humanitarnych. W zapale kozackiego entuzyazmu przewróciliśmy do góry nogami całą historyę Polski, uczyniwszy z niej coś niemożliwego, coś nieprawdopodobnego. Porwani dziecinnym humanizmem, wbrew historycznej rzeczywistości, umieściliśmy nasz naród (podkreśla znacząco sam Kulisz), jak męczennika w środku dwóch wrogich mu narodów, jak bohatera śród potworów. Socyologia, połączywszy się w naszym umyśle z dziedzicznemi poglądami na przeszłość, ułatwiła nam przenoszenie ideałów teraźniejszości w przeszłość, która rozwijała się pod wpływem zupełnie odmiennych potrzeb, opinii i dążeń. Skutkiem tego w pojęciach naszych historyków i literatów niektóre czynniki naszej przeszłości, jak rolnik, chłop, kozak, zeszły z właściwego swego stanowiska. Skutkiem pielęgnowania negatywnego humanizmu, niższe warstwy ludności, jako naród (Kulisz znowu podkreśla), stały się nosicielami jakoby szlachetnych dążeń człowieka, wbrew wyższym warstwom społecznym, które malowano jako skupienie naj-

gorszych, uosobionych egoizmów". (Materiały dla istorii wozsojed. Rusi, t. I, str. VII, VIII).

Przytoczywszy te słowa Kulisza, mogę tylko powiedzieć:

To nie o tobie, ojcze Honoracie...

Jeszcze o tytule słówko i o charakterze pisarskim, że tak powiem. Sz. profesor zrobił zarzut p. Storożence z powodu jego pracy p. t. Stefan Batorij i dnieprowskije Kozaki, że jest pisana „pretensiozno". Zarzut ten w stopniu o wiele większym możnaby zrobić p. Hr. Jeżeli w pracy p. Storożenki mógł nie podobać się sposób pisania — niegrzeczny autor wystąpił tam przeciwko kijowskiej szkole historycznej — to pretensye p. Hr. sięgają dalej. On nie chce nic wiedzieć o tem, że nie istniało żadne państwo, któreby się nazywało Ukraina-Ruś i dla tego w samym tytule zgłosił historyczne pretensye do Rzptej polskiej, do Rosyi i do Austryi. Gdyby był terytoryalne pretensye zostawił na stronie, a pisał tylko historyę narodu ruskiego — byłby w porządku. Ale on w samym tytule swojej pracy podniósł i zaznaczył aspiracye państwowe, co jest i nieprawdziwe, i śmieszne, i przedwczesne, i niewłaściwe, i nieuzasadnione. Znać tu wszakże tendencye polityczne i wpływy obce. Poszedł on śladem „sobiratielej russkoj ziemli". Tamci działali o tyle zrozumiale, że wytwarzali sztucznie, chociaż z wielką szkodą dla państwa, ideę jedności rosyjskiej, a dla poparcia jej nie wahali się cofnąć aż do X wieku — dalej nie można było — p. Hr. zaś podstawia nogę, gdzie cudze konie kują. On nietylko radby sfabrykować Ruś-Ukrainę na Węgrzech, w dzisiejszem Królestwie Polskiem, nawet od Dunaju do Uralu, ale święcie wierzy, że taki zbieracz ukraińsko-ruskiej ziemi już był się zjawił na początku XIV w. i byłby dokonał tego wielkiego czynu, gdyby nie — Polacy. Ażeby czytelnika nie trzymać długo w napięciu ciekawości, odrazu zdradzę tajemnicę: owym zbieraczem ukraińskiej ziemi był książę litewski Giedymin, gdyż „sam siebie tytułował królem litewskim i ruskim", a za jego czasów „rząd litewski świadomie wstąpił na drogę zbierania ruskiej ziemi". (Ist. Ukr.-Rusi, t. IV, str. 19). Wobec tego śmiało można powiedzieć: nic nowego pod słońcem, a żałować jedynie, że Jagiełło tak zuchwale zniszczył marzenia Gedyminowe, po których tylko ślad został w historyi Ukrainy-Rusi p. Hr.

Od wielkich rzeczy przejdźmy do małych. Sz. profesor, bardzo wiele wymagający od innych, słusznie, bo „sprawuje kon-

trolę naukową", sam folguje sobie dość często, szczególnie na punkcie przekładów ze staropolskiej polszczyzny, lekko ważąc język narodu, który nie miał takich wspaniałych przodków, jacy poprzedzili istnienie historyi Ukrainy-Rusi. Damy próbkę tylko. Królowa Bona poleciła x. Fedorowi Sanguszce (1541), aby zajął się działem dóbr x. x. Ostrogskich na Wołyniu. Sanguszko nie mógł tego uczynić z powodu buntów mieszczan bracławskich i winnickich. Sanguszko, zdając sprawę, pisał: „zemianie i miszczanie bracławskije zwiaznywszi sia naprotiwku starosty swojeho kn. Semena Prońskoho..." (dalszy ciąg nas nie interesuje). Wydawca „Archiwum xx. Sanguszków" (t. IV, 278) zaopatrzył wyraz podkreślony pytajnikiem, a sz. profesor w przypisku (t. VII, str. 50) objaśnia: „sebto zwasnywszy sia, poswarywszy sia" — tymczasem z treści dokumentu widać, że zachodzi tu „polonizm": ziemianie i mieszczanie połączyli się wspólnie, „związali się" ze sobą, umówili się, ażeby x. Prońskiego wyrzucić z miasta, ale nie ma dowodu, ażeby kłócili się z nim lub ze sobą.

Gorzej wyszedł na tem Pretficz, którego relacyę autor historyi „pokoroczuwaw". W apologii swojej Pretficz pisze, iż dowiedział się, że na „wirchowinach berezańskich" są Tatarzy. Chcąc ich rychlej naścignąć, powiada: „przebrawszy ludzi, posłaliśmy przed sobą, a samiśmy szli za nimi". *(Bibl. Warsz.* 1866, t. III, 54). Czynność ta polegała na tem, że wybierano co lepszych żołnierzy, co silniejsze konie i posyłano w pogoń za Tatarami; za nimi postępował większy oddział, o czem Tatarzy nie wiedzieli i zajętych utarczką rozbijano. Był to manewr wojskowy. P. Hruszewski zaś pisze: „perebrawszy ludej swoich (za Tatar — dodatek sz. profesora) posłałysmo ich..." Po co miał Pretficz urządzać tę maskaradę, trudnoby zgadnąć, gdyby nie kulawa znajomość języka polskiego p. Hr.

Należy się jeszcze słówko ciekawemu czytelnikowi o języku, którym posługuje się p. Hr. Nie biorę się rozstrzygać tego ani ze stanowiska lingwistycznego, ani filologicznego. Widzę tylko, że ten język urabia się zbyt pospiesznie. Ludowa gwara, którą posługiwał się Szewczenko, odpowiadała w zupełności lirycznej i patryotycznej strunie poezyi, wyrażającej nieskomplikowane uczucia ludowej duszy. Do posługiwania się w historyi ona nie nadawała się. W ostatnich dwudziestu leciech spostrzegamy gwałtowny pospiech w uzupełnianiu tej mowy i przystosowywaniu

jej do użytku naukowego. Jest to rzecz zupełnie zrozumiała, ale wytwarza się skutkiem tego taka mięszanina międzynarodowa, że gdyby nie inny alfabet, nieraz zwykłemu czytelnikowi (nie filologowi) trudno byłoby zoryentować się. Dziwić się temu bynajmniej nie należy. Języki nowożytne nie stawały się odrazu doskonałymi. Toteż i język ruski trudno się przystosowuje do opowiadania wypadków dziejowych — jest jeszcze za ubogi, za mało wyrobiony do wypowiadania nowych pojęć, nieobjętych życiem ludowem, brak mu wyrazów. Stąd zapożyczanie się, fabrykowanie i w rezultacie mozaika lingwistyczna, którą sz. profesor posługuje się nie bez wysiłku. Z tego powodu styl jego jest ciężki i razi ucho, przywykłe do dźwięcznej poezyi ludowej, pewną chropowatością.

Fr. Rawita Gawroński.

Łozina, d. 15 marca 1911.

DRAGAN CANKOW.

Jeden z pierwszych a najtwardszy inicyator pracy organicznej w odrodzeniu Bułgaryi, jeden z pierwszych a najbezinteresowniejszy jej rzecznik przed Europą, jeden z pierwszych a najgłośniejszy przewrotowy mąż stanu we własnym kraju, nestor i patron liberalizmu bułgarskiego, 83-letni Dragan Cankow przeniósł się do wieczności 11/24 marca w tej samej chwili, kiedy stronnictwo jego, po upadku gabinetu demokratycznego karawelistów, powołano na nowo do władzy.

Urodzony 26 października 1828 r. w Swistowie nad Dunajem, po nauce szkolnej miejscowej, a następnie w Odesie, Kijowie, Wiedniu, zostaje nauczycielem w szkole francuskiej w Konstantynopolu; w 1857 r., zakłada przy Łazarystach katolickich małą drukarnię, w której wydawano książki i czasopisma bułgarskie. Od 1859 r. sam wydaje gazetkę *Błgarya* do 1863 r. W tymże roku wraca do Swistowa, gdzie zostaje dragomanem i inspektorem pasportowym. Po roku powołany przez jeneralnego gubernatora — Midhata baszę do Ruszczuku, funkcyonuje tam jako inspektor tureckiej parowcowej żeglugi, sędzia etc., a jednocześnie tamże zakłada drukarnię, z której rzuca w kraj broszury i pisma ulotne. Zaczem piastuje godność cenzora druków bułgarskich w Kon-

stantynopolu, następnie wice-gubernatorstwo tureckie w Niszu i Widynie, skąd usuwa się do Ruszczuku dla adwokatury i nauczycielstwa, lecz niebawem zostaje internowany w Konstantynopolu, aż do słynnej swej odyssei z Markiem Bałabanowem po Europie w 1876 r. dla zapoznania jej ze stanem Bułgaryi i wyjednania dla niej przyszłości znośniejszej.

W ciągu całego tego czasu, oprócz podręcznego przewodnika nauki języka bułgarskiego dla Niemców, publikacyi wielu broszur i *Błgaryi*, pisze i wydaje po bułgarsku w 1868 r. „Kratka błgarska istorja“, a wspólnie z M. Bałabanowem *La Bulgarie* w Londynie 1876 r. i tłumaczy na język bułgarski Silvia Pellica „I miei prigioni“, a wcześniej jeszcze zakłada czasopismo *Czytaliszte* (1870 r.) i *Rukowodstwo na osnownoto uczyliszte*, organ pedagogiczny 1874 r.

Podczas pierwszego w czasie po wojnie krymskiej pobytu w Carogrodzie występuje na szeroką widownię działalności polityczno-kościelnej, wchodzi w stosunki z Adamem ks. Czartoryskim, Adamem Mickiewiczem i Sadykiem baszą Czajkowskim, w następstwie czego, dla zerwania z fanarem i patryarchatem greckim, a wyjednania opieki Europy katolickiej dla własnego kraju, przyjmuje katolicyzm, jedzie na czele spropagowanej przez siebie delegacyi duchownej i świeckiej do Piusa IX w Rzymie z obedyencyą i przedłożeniem zawarcia unii kościelnej; wysforowuje Bułgara Sokolskiego na pierwszego biskupa unickiego, z którego córką dla tem większej rękojmi zamierzył się ożenić. Akcya ta, popierana nie dość intenzywnie przez Napoleona III, zostaje pokrzyżowaną przez wyjednany zabiegami Rosyi i Anglii ferman sułtański, erygujący samoistny egzarchat bułgarski. Cankow godzi się z faktem dokonanym, mimo porwania Sokolskiego i wywiezienia do Ławry kijowskiej, owszem przykłada gorliwie rękę do ostatecznego rozdziału z patryarchatem i wzmocnienia a ustalenia wpływu egzarchatu.

Trzymając się zdala od konspiracyi komitetów rewolucyjnych przed wojną 1877/8 r., wyczekuje jej wyników. Okupacya rosyjska zastaje go wice-gubernatorem w Tyrnowie. Wybrany do zebranej tam pierwszej konstytuanty bułgarskiej w 1879 r. posłem, wraz z wyborem księcia Aleksandra Batenberga na tron nowo utworzonego państwa, zostaje mocą swej popularności, mimo dywergencyi skrajniejszego od siebie Karawełowa, przywódcą liberałów, którzy ogromną większością przeforsowują projekt kon-

stytucyi w uchwałę, wbrew poprawkom pokonanych konserwatystów. Cankow w następnym dopiero roku obejmuje ster gabinetu wraz z teką ministerstwa spraw zagranicznych, oddawszy Karawełowowi tekę spraw wewnętrznych. Mimo to ingeruje i w tych ostatnich, a już najbardziej stara się rozwikłać trudności w nawiązaniu i unormowaniu stosunków z dworami mocarstw i z państwem zwierzchniczem. Kwestya dunajska staje się pretekstem usunięcia liberałów, z którymi trudno zdało się księciu rządzić przy krzyżujących się wpływach z jednej strony Rosyi, z drugiej mocarstw zachodnich, z trzeciej konserwatystów. Konstytucya zostaje zawieszoną, Cankow internowany we Wracy, gnieździe konserwatystów, gdy Karawełowowi udaje się umknąć do Rumelii. Do władzy przychodzą militarni ministrowie rosyjscy: Ehrenroth, Sobolew, Kaulbars, których wszakże twarda, na bagnecie oparta gospodarka, zanadto daje się uczuć i księciu i liberałom, żeby nie miała wywołać reakcyi. Przychodzi wskutek tego do pojednania między Batenbergiem a Cankowem, który znów staje na czele gabinetu z jednoczesnem przywróceniem konstytucyi i obdarza gości rosyjskich paszportem na drogę powrotną. Powraca też z wygnania i Karawełow z planami ryzykowniejszemi, przelicytowującemi akcyę powolniejszą Cankowa. Następuje stanowczy rozłam w obozie liberałów. Karawełow (od którego uciekłby Cankow nawet z raju, gdyby go tam zobaczył — jak sam się wyraził) zakłada własne stronnictwo i obejmuje spadek premiera, wzmacniając fotel ministeryalny entuzyazmem księcia, tegoż emancypacyą z pod wpływów Rosyi polityką i niespodzianemi sukcesami — przyłączeniem Rumelii i zwycięską wojną z Serbią, mimo odwołania 250 oficerów rosyjskich i stanowczego zerwania z Petersburgiem.

Od zaniepokojonego własnemi sukcesami rywala bardziej strwożony możliwemi następstwami ich Cankow, już przed 2 laty wywiesiwszy przeciw Karawełowowi sztandar bardziej przychylny i pojednawczy dla Rosyi, teraz wchodzi po raz pierwszy stanowczo na drogę konspiracyjną, której przedsmaku próbował już we Wracy to przeciw księciu, to przeciw jenerałom rosyjskim. Zręcznie zorganizowanym planem, którego wykonaniem kieruje się z ukrycia, obalono księcia, który zostaje porwany w nocy, zdetronizowany i oddany Rosyi przez wykonawców zbyt gorliwych zamachu. Sam inspirator nie ubiega się o władzę, lecz podstawia innych. Na czele rządu tymczasowego figuruje metropolita Kle-

mens. Na kolana przez pułkownika Kesiakowa rzucony tłum uliczny ślubuje wierność Rosyi i przywraca z nią stosunki — na 24 godzin. Na scenę występuje niedawny pupil Cankowa i piewca jego apologetyczny podczas internowania we Wracy, prześcigający dotąd obu spółzawodników liberalnych w rusofilstwie, a teraz rusofob, a śmielszy od obu, zuchwalszy i ambitniejszy, Stambołow — godzi ich jednaką proskrypcyą, zostawszy pierwszym regentem po piorunowem przywróceniu tronu Batenbergowi i dobrowolnej tegoż abdykacyi. Z poszlakowanych w przewrocie państwowym Karawełow dostaje się do t. z. „czarnej dżamii" (kryminału), Cankowowi udaje się umknąć do Rosyi na przeszło 7-mioletnie wygnanie, skąd powraca dopiero za panowania księcia, teraźniejszego króla Ferdynanda i po upadku groźnego dyktatora, rad widzieć tryumf swej polityki oportunistycznej w polityce nowego panującego; mimo że nie zupełnie mu dowierza, powraca niejako dla honoru zająć fotel marszałka sejmowego, z którego niebawem usuwa się w zacisze domowe, z uchwaloną przez sejm dotacyą roczną, jako panis bene merentium, pozostawiając ster partyi Dr. Danewowi, delegaturę osobistą zięciowi Ludskanowowi, mnie sposobność pogrzebania go już wówczas [1]), a zmodernizowanej większości ogółu bułgarskiego satysfakcyę uważania go za zbyt staroświeckiego na dzisiejsze maniery i pojęcia. Z humorem, który go nie opuszcza do ostatniej chwili, reaguje na ten modernizm lub zbytnią wobec siebie poufałość dziennikarstwa i publiczności przez obdarzenie jednych i drugich epitetem tureckim „külchane" (popieliskiem), kłębami dymu nieodstępnej bzule-guenle, lub racami fejerwerkowemi w rodzaju tych, jak na zaprzeszłorocznym zjeździe słowiańskim w Sofii, projektem akceptowania języka rosyjskiego.

W tej opinii europejskiej i polskiej, która się reguluje szablonem z pewnych faktów lub objawów życia, uchodził Cankow za zdeklarowanego, wieczystego moskalofila i panslawistę, stojącego na żołdzie Słow. Towarzystwa Dobroczynności i rządu je popierającego. Dysonansów wszakże, zaprawdę wielce kłopotliwych dla takiego poglądu, nie szczędzi życie Cankowa prawie w każdem stadium długoletniej jego karyery publicznej. Jakaż to wdzięczna illustracya epoki stosunków jego z Czartoryszczyzną i Rzymem, ów moment z pogrzebu mickiewiczowskiego w Kon-

[1]) p. „Rok przewrotów" Jana Grzegorzewskiego, str. 204.

stantynopolu, kiedy Cankow niespodzianie sprowadza tysiączny żałobny zastęp Bułgarów, którzy — mówiąc słowy Jeża [1]), „nie wzywani przyszli, nie dziękowani odeszli, dopełniwszy względem przyświecającego Słowiańszczyźnie geniuszu poetycznego powinności, jak powinność wszelką pełnić należy“.

Kiedy w 1859 r. począł wydawać swoją gazetkę *Błgarja*, tak pisał:

„Jeno ślepi nie mogą odróżnić rzetelności istoty chrześcijaństwa w propagandzie rzymskiej od zaprawdę dyabelskich spraw panslawizmu i panhelenizmu“.

A owa efektowna chwila, kiedy po zaznaczonem wyżej tajnem, poza plecami ministrów rosyjskich, porozumieniu się księcia Aleksandra z Cankowem i wydrukowaniu w nocy 17 września 1883 r. manifestu o przywróceniu zawieszonej konstytucyi, tudzież reskryptu o nowym gabinecie cankowistowskim, oburzony minister Sobolew woła do referującego mu owe wypadki sekretarza, Stojana Petkowa:

— Et Vous me disiez, que Tzankoff était un honnete homme! C'est un lâche hypocrite, il s'est uni à nos adversaires contre nous les Russes“ [2]).

Riposta Draganowa na drogę odjeżdżającym dygnitarzom rosyjskim brzmiała lapidarnie: „Nie chcemy rosyjskiego miodu, ni żądła“.

Albo ów moment z czasów przygotowań regencyi stambołowej do zwołania wielkiego sejmu elekcyjnego, kiedy na wiadomość o żądaniu przez nią rękojmi rosyjskich dla swobód konstytucyjnych Bułgaryi w zamian za pewne ustępstwa taktyczne dla postulatów przysłanego z Petersburga jen. Kaulbarsa, a zwłaszcza za cenę odroczenia terminu elekcyi, Cankow zawołał:

— Grzech to pierworodny żądać czegoś podobnego od Rosyi (oswobodzicielki naszej). Ja wam powiadam, panowie, że oni (regenci) największe nieszczęście sprowadzą na ojczyznę naszą — okupacyę rosyjską [3]).

Nieboszczyk czuł się przedewszystkiem Bułgarem, był wybornem wcieleniem tego oportunizmu, który w życiu publicznem

---

[1]) „Rok przewrotów“, str. 283.

[2]) Drandar: *La Bulgarie*, str. 60

[3]) Jana Grzegorzewskiego: „Spółczesna Bułgarya“ II (kontrasty bułgarskie) str. 9.

nietylko sentymentalizm, ale i szczere uczucie kontroluje kredką rachunkową z chytrością chłopa w duszy, a rubasznością i otwartością jego dla świata, z pewną dozą mściwości w rachubach osobistych. Przypominał w tej mierze nieco Bismarka, jeno że mu brakowało tamtego władzy, tresury junkierskiej, szerszych horyzontów myśli i czynu, a w zamian owego pychy i brutalstwa, prostotę miał z przyprawą jowialności w obejściu i nieskończenie więcej ludzkich uczuć w sercu i twarzy. Zresztą sympatye i antypatye ich obu płynęły z jednego źródła szczepowych i narodowych przeciwieństw, jeno w kierunku rozbieżnym: co dla jednego było germanofilstwem i słowianofobstwem, dla drugiego wstrętem do „szwabów“ i sławianofilstwem.

„Szwabstwo“ księcia Aleksandra było dla Cankowa zmorą, którą chętnie przykrywał urazy doń osobiste za czasy wraczańskie, i publiczne za ryzyko następstw z zerwania z Rosyą; powracał do niego uparcie za każdym razem, ilekroć chciał odwrócić uwagę spółbiesiadników od innych reminiscencyi żywota swego. Stało się tak też raz i w mojej obecności, kiedy w odpowiedzi na pytanie jednego z gości — jak wyglądały pantofle P i u s a IX, które całował, — puścił w twarz pytającego kłęby dymu swej fajeczki i rozpoczął filipikę przeciw Batenbergowi.

— Ale co ty, diado, uwziąłeś się tak na szwabstwo księcia tego, skoro matka jego była Polką! — odezwałem się doń tym samym sposobem patryarchalno-wschodnim tykania, którym obdarzał każdego, lubiąc, aby i do niego tak samo mówiono.

— I-i-i! Dziesiąta woda na kisielu! Osobliwsza to musiała być ta haukowska jego polskość i słowiańskość, która go prowadziła do zalotów o rękę siostry naszego najserdeczniejszego kajzera Wilhelma berlińskiego — odparł z satysfakcyą obudzenia reakcyi patryotycznej.

Ta żyłka antiszwabska drgnęła w nim i w ocenie króla F e r d y n a n d a, którego podziwiał wygląd majestatyczny i chwalił zdolności, ale żachał się wychwalaniem przez reporterów jego słowianofilstwa i wrzekomo słowiańskiego pochodzenia. Gdy na recepcyi w pałacu król podprowadził doń dwóch generałów rosyjskich, goszczących w Sofii i począł z nimi rozmawiać po rosyjsku, aby stary słyszał, i gdy następnie po ich oddaleniu się, zapytał:

— No, co, d i a d o C a n k o w, kontent jesteś?

— Jezuitin si Mata, jezuitin si w czerwata — odrzekł Cankow.

Jeszcze pochlebniej odmalował króla przed królową Eleonorą, gdy zosłał jej przedstawiony niebawem po jej przybyciu:

— Widisz li go toja? Toj je łukaw (fałszywy) czowiek. Ti da śe pazisz (strzeż się) ot niego. Kakwo to i da ti każe je łyża (łgarstwo) — mówił ku jej pociesze weredyk krotofilny.

Od dzieciństwa zżyty z Turkami, przesiąknięty ich obyczajowością o wiele bardziej, niż jego młodsi rodacy, a nadto trzeźwo umiejący ocenić wartość tylu wspólnych interesów między obu narodami, obcym był ślepej nienawiści dla wczorajszych a częściowo i dzisiejszych władców społeczeństwa bułgarskiego, szukając nieraz dróg kompromisowych i przyjacielskich z nimi, w czem mu sekundowali niekiedy przeciwnicy jego na innem polu — Stambołow i Karawełow. Co więcej — w życiu prywatnem uczynny dla wszystkich, którzy jeno uciekali się do jego pomocy i opieki, lubował się w okazywaniu onej Turkom. U stóp głównego, a dziś jedynie już tylko pozostałego w Sofii meczetu, tego samego przy termach, który epigoni Cankowa zburzyć pragnęli dlatego tylko, że jest tureckim, mimo że to jedyny i najpiękniejszy okaz budownictwa w stolicy bułgarskiej — siadywał do niedawna pucułowaty ze stroskanym, a jednocześnie jowialnym i dobrodusznym wyrazem twarzy stary obdarty Turek Abdi-baba, żyjący z rozsprzedaży ulicznej tanich, 5-cio centowych ciastek. Gdy raz zziębnięty wbiegł dla rozegrzania się na chwilę do pobliskiej ludowej kawiarenki tureckiej, utrzymywanej przy źródle gorącem z fundacyi pobożnej (wakufu), czatujący oddawna z agentem skarbowym pachołkowie miejscy rzucają się na tacę i konfiskują całe pieczywo nędzarza, rażącego oczy modernizujących się szowinistów łachmanami „bisurmana". Prośby i zaklęcia wybiegłego w rozpaczy Turka nie pomogły: przedawać mu nadal nie wolno. Bezsenna noc jedyną mu radę odważną przynosi: pójść do diada Cankowa, skoro się dowiedział, że wszak tegoż partya dzierży władzę pod sterem Danewa.

— Ne war, ne jok? (Co jest, czego niema?) — pyta go zwykłym frazesem powitalnym Cankow.

— Nic już niema! — bełkoce żałośnie Abdi-baba, rozsuwając ręce.

— No, to zaraz będzie — gospodarz na to dobrotliwie, sa-

dząjąc przy sobie na sofie: — zapal-no papierosa, zanim przyniosą kawę i słodycze, ale mów wyraźnie i po porządku, abym zrozumiał.

— Tak i tak, diado efendi, zabrali mi wszystko wasi pachołkowie magistraccy — i opowiada całe zajście.

— Napisz-no do tych panów w kmetstwie — woła na córkę Cankow — aby zwrócili zagrabioną bakławę przyjacielowi memu Abdi-babie i dali mu święty spokój z handlem jego, jeśli nie chcą, abym ja mu szedł przedawać pod meczetem.

Z banknotem w garści, danym na świeże pieczywo, a cyrografem polecającym do władz w zanadrzu, staje Abdi-baba w magistracie i ministerstwie skarbu, gdzie się otwierają przed nim podwoje i świadczy mu się honory sofowe u prezydenta miasta i ministra, obdarzających go koncesyą i spokojem do końca życia; umarł w przeszłym roku, doczekawszy się karyery nauczycielskiej syna.

Tuzinami anegdoty podobne obiegają po nieboszczyku.

. . . .

Gdy inni na stanowiskach mniej wybitnych od Cankowa, pozostawili krocie i miliony gotówki dla siebie i rodziny, po nim krom skromnej chałupy, paru — jak ktoś spostrzegł — kożuszków i seryi fajeczek przepalonych, mało co więcej spuścizny materyalnej wykazać się może; moralna i polityczna postać niepospolita, jeno że pierwsza zaciera się w sercach i umysłach spadkobierców, a druga przetapia się w odmienne od zamierzonych przez niego formy i objawy. Zdawało się, jakby na głos z trumny świeżej drgnęła myśl zlania się dwóch w dzisiejszem przesileniu wybitnych stronnictw (narodniaków i cankowistów) i zainaugurowania ery rządów bezkoteryjnych, — lecz chwila przemknęła.

Był demokratą bez pozy, ale demokratą do szpiku kości, patryarchalnym, nie doktrynerskim.

Zstąpił do grobu człowiek idei bezinteresowny, czystości w obyczajach, człowiek typu zamierającego, typu, którego teraźniejszość już rozumieć i docenić nie mogła. Te kilkunastotysiączne tłumy, które asystowały pogrzebowi jego z sumptu państwowego, złożyły mu hołd historyczny, ale nie dały się wzruszyć mowami D a n e w a, B r a s z l a n o w a i C z y l i n g i r o w a, ani się porwać spontanicznym jękiem żałosnym po stracie patryoty. Westchnęło chyba ciężko kilkudziesięciu nędzarzy.

Po twardem życiu twardy grób.

Sofia. *Jan G.*

DOSITEJ OBRADOVIĆ.

Na dzień 8 kwietnia b. r. przypadła pamiątka stulecia śmierci wielkiego oświeciciela serbskiego ludu, Dositeja Obradovicia, który r. 1811 dnia 26 marca st. st. zakończył w Belgradzie swój pełen trudów żywot.

Zarówno Serbowie jak i Chorwaci obchodzili dzień ten uroczyście. W samym Belgradzie odbyło się nadzwyczajne posiedzenie skupsztiny, w czasie której przewodniczący Andrzej Nikolović miał mowę o życiu i pracy Dositeja, a następnie udano się do cerkwi na nabożeństwo i tu również przemówił patryarcha Dymitrije na sławę wielkiego męża.

Echo tych uroczystości odbiło się w Bułgaryi i Rumunii, a przedewszystkiem wśród serbskiej braci, Chorwatów.

Dositej Obradović (ur. 1744 † 1811) rozpoczął swą oświatową działalność i budzenie świadomości narodu już jako młody mnich w klasztorze Hopowo na Fruszkiej Górze. Tutaj czytając żywoty Świętych zamyślił tłumaczyć je na język ludowy, ale gdy wpadłymu w ręce kazania św. Jana Chryzostoma, poznał, czytając je, że trzeba mu się jeszcze dużo kształcić, ażeby mógł je zrozumieć; że zaś w klasztorze nie mógł znaleść odpowiedniego nauczyciela, dlatego opuścił go z jednym ze swych towarzyszy potajemnie i poszedł do Zagrzebia. Tu jednak nie chciano go przyjąć do szkoły, czem zrażony wyruszył w drogę na południe do Dalmacyi, gdzie ucząc dziatwę czytać i pisać, zarabiał na chleb powszedni, uczył się też sam i tłumaczył łatwiejsze kazania św. Jana Złotoustego, które zaraz skrzętnie przepisywano i rozszerzano wśród ludu, jako słowiańskie „Bukvice“ (czytanki).

Następnie udał się Obradović na górę Athos, szukając nauczyciela dla siebie, ale nie znalazłszy go tu, poszedł dalej aż do Smyrny i tam pozostawał przez trzy lata. Stąd pospieszył przez Albanię na wyspę Korfu, gdzie miał sposobność poznać bliżej klasycznych pisarzy Grecyi i Romy.

Niedługo wyruszył znów w drogę i zwiedziwszy Wenecyę i Tryest, wrócił powtórnie do Dalmacyi i pisał dalej swoje „Bukvice“. Ale po krótkim czasie widzimy go we Wiedniu, gdzie ucząc młodzież języka łacińskiego i greckiego, sam oddawał się studyom języków francuskiego, niemieckiego i włoskiego. Po sześciu latach pobytu we Wiedniu zwrócił swe kroki dalej na północ i poszedł do Hali, gdzie się zapisał na wydział filozoficzny i teolo-

giczny. Roku 1783 udał się do Lipska i chciał dać do druku napisane w Hali „Sovety“ (Rady), ale brak pieniędzy przeszkodził mu w tym zamiarze. Mimo to rok 1783 pozostanie w literaturze serbskiej przełomowym; tu bowiem bierze początek rozwój serbskiej kultury i piśmiennictwa.

Psałterz, kazania, różne książki do nabożeństwa, żywoty Świętych, były pokarmem duchowym Obradovića w młodszych latach. Podobna lektura obudziła w nim pragnienie poświęcenia się Bogu i męczeństwa; długie modlitwy i wyczerpujące posty zjednały mu u pobożnego ludu opinię świętego. Następnie podróżując po świecie i widząc swobodne życie ludzi światowych, nabrał zapatrywań wprost przeciwnych poprzednim i o ile przedtem miłował umartwiony żywot w klasztorze, o tyle teraz był jego przeciwnikiem. Najlepszym tego dowodem jest pierwsza jego drukowana książka p. t. „Život i priključenija Dimitra Obradovića“ (Żywot i zdarzenia Dymitra Obradovića, nazwanego w klasztorze Dositejem) tłoczona r. 1783 w Lipsku. Dzieło to miało podać rodzicom wskazówki potrzebne przy wychowywaniu dzieci. Rady swoje czerpał z różnych uczonych ksiąg obcych pisarzy i w ten sposób przesadzał z zagranicy na ojczystą rolę piękne nauki i przykłady. Nie zapominał przytem o ważnym czynniku wychowania, t. j. rozrywce i humorze i w tym celu pisał wesołe i żartobliwe dyalogi na wzór współczesnych francuskich i niemieckich. Posługiwał się także formą listów za przykładem Göthego i Wielanda.

Co się tyczy ducha, Obradović zwłaszcza w II-giej części tego dzieła, rozprawiając o wierze, domaga się wolności sumienia, a przytem zachowywania zasad ewangelii i nauki apostołów. Skłania się w wierze już do indyferentyzmu, a potępia surowo wszelkie utożsamianie wiary i narodowości.

Po r. 1783 podróżował dalej, zwiedził Paryż i Londyn, był w Rosyi i Polsce[1]).

Oprócz wyżej wspomnianych dzieł pisał i tłumaczył bajki za wzorem Ezopa, Lafontaina i Lessinga. Około 160 bajek zawierają jego „Ezopove basne“, wydane 1788; każda z nich kończy się nauką moralną, a także dodane im są wzniosłe polityczne myśli i wnioski, mające pouczyć czytelnika o wszyst-

---

[1]) Dr. Dž. Šurmin: Povjest književnosti. str. 250.

kiem. Odznaczają się te bajki doskonałością języka, potoczystością i jasnością dykcyi.

Roku 1794 wyszły z druku „Soveti zdravoga razuma“ (Rady zdrowego rozumu), wśród których jedne są oryginalne, inne wzięte od obcych autorów. Jest tu między innemi rada, żeby używać pieniędzy kościelnych raczej na budowę szpitali i szkół, aniżeli na stawianie nowych kościołów i dzwonnic, które tylko jedną miejscowość zdobią, ale... ludzkości żadnej korzyści nie przynoszą.

Etyka i filozofia, napisane przez Obradovića, są tłumaczeniem z włoskiego etyki ks. Soavi († 1803), zakonnika i profesora w Milanie i Padwie.

„Sobranje raznih naravoučiteljnih veščej“ (Zbiór różnych wiadomości z natury), (1793) zawiera wiele nauk i przypowieści alegorycznych. Druga część tego dzieła zatytułowana „Mezimac“ (Pieszczoch), wydana r. 1818, obejmuje rozprawki z filozofii praktycznej, n. p. „Czy człowiek jest maszyną“, „O kłamstwie“, „O naukach“ i t. p.

Dalej przetłumaczył Obradović z Lessinga: Damon iliti istinito prijateljstvo u iskušenju ljubavi (D., czyli prawdziwa przyjaźń doświadczona miłością).

Zachowały się też niektóre jego pieśni, jak: „Pesna na vzjateje Bjelgrada“ (Pieśń o zajęciu Belgradu), „Pesna o izbavleniju Serbije“ 1794 r. (Pieśń na wyzwolenie Serbii), „Pesna na insurekciju Serbianom“ (Pieśń (wzywająca) do powstania).

Po długich podróżach zatęskniło serce starego już Obradovića za swoimi i dlatego wraca r. 1807 do Belgradu i tu według starego zwyczaju przyjmuje chętnie obowiązki nauczyciela domowego, u Jerzego Karadżordży. Ale wkrótce poznali się na jego zdolnościach współobywatele i powierzyli mu ważne stanowisko szefa oświaty i kuratora krajowych zakładów naukowych.

Obradović, troskliwy o oświatę ludu, snuł szerokie plany zakładania nowych szkół po miastach i wioskach, a przedewszystkiem założenia „generalnej szkoły“ (seminaryum), w którejby się przygotowywała młodzież na szerzycieli oświaty wśród ciemnego ludu. Lecz niestety planów swoich nie mógł urzeczywistnić, gdyż śmierć przerwała nić pracowitego jego żywota r. 1811 dnia 26 marca st. st.

Już G. Stefanović († 1745) i J. Rajić, sławny serb-

ski historyk (1726—1801) starali się język ludu wprowadzić do ksiąg nabożnych, a przez to i do literatury, ale dopiero Obradović urzeczywistnił tę myśl, drukując dzieła swoje daleko poza krajem, w którym spotykały go niemałe trudności, gdyż początkowo uważano jego książki za przeciwne i niebezpieczne dla wiary schyzmatyckiej i dlatego niszczono je, lub zabraniano czytać.

Obradović pierwszy, zrywając z tradycyami, głęboko zakorzenionemi w serbskim narodzie, szerzył nowe idee z głębokiem przekonaniem, miłością i niezłamaną odwagą. Jego zasady wychowania są w naszych czasach już przestarzałe, ale jego kulturalno-polityczne idee wyzwolenia się z pod przemocy Turka i wpływów Wschodu, były zarówno doniosłe i ważne dla Serbów jak i Chorwatów [1]).

Otworzył on drogę na Zachód i położył przez to trwałe podwaliny pod literaturę serbsko-chorwacką; on był wielkim przewodnikiem („zatočnik“) południowych Słowian, zamieszkujących wzgórza i kotliny od małel Sutli [2]) do morza Egejskiego, na polu oświaty i piśmiennictwa.

Oddają więc Serbowie cześć jego pamięci, zdobytej doniosłemi dzieły; pamięć jego nie zginie wśród południowych pobratymców, dopóki one żyć i swym pięknym językiem pisać będą.

M. J.

Zagrzeb 16. IV. 1911.

Przegląd prasy słowiańskiej.

Pewien **Litwin**, niejaki A. Braškutis (pseudonym) w opublikowanym w *Rieczi* (Nr. 33) artykule pozwala sobie twierdzić, że „współczesna polityka Polaków (względem Litwinów) z moralnego punktu widzenia jest gorszą, niźli rusyfikacyjna polityka rządu“ !...

Jeden z grona „prawdziwych Litwinów-patryotów“ oburza się w *Viltis* na tych wszystkich Litwinów, którzy się łudzą jeszcze, utrzymując, że „przecież nie wszyscy Polacy są źli i litwinożerczo nastrojeni“, — i kategorycznie twierdzi, że „wszyscy Polacy przejęli się duchem Krzyżaków — są nowoczesnymi Krzyżakami“...

Jeden z najaktualniejszych poetów z obozu *Viltis.*, L. Gira, nazywa ks. Tumasa „prometeuszem“, Polaków zaś wypędza (risum teneatis) za...

---

1) *Obzor* dnia 9. IV. 1911.

2) Rzeka na granicy Chorwacyi i Karyntyi.

San! (hasło Rusinów galicyjskich w ustach Litwina jakże tragikomicznie brzmi: widocznie L. Gira rzekę San uważa za granicę „etnograficznej Litwy", ku zgorszeniu „braci Rusinów")...

Wszyscy księża-agitatorzy (z ks. A. Dąbrowskim na czele) urągają duchowieństwu polskiemu za to, że sieje straszną zarazę „mohlianizmem" przez sławetnego o. Palmieriego nazwaną (nieboraczki słyszeli, że gdzieś coś dzwoni, lecz nie wiedzą, gdzie i co; z artykułów *Now. Wremienia* (tak, zaprawdę) dowiedzieli się o istnieniu w Polsce „sekty mohlianistów" i, gdyby papugi, ku uciesze ludzi zdrowego rozsądku te brednie publikują — chorobę, zwaną „palmieryzmem", anonsując)..

Litwini z Petersburga i Moskwy za pośrednictwem departamentu obcych wyznań wnieśli skargę do Watykanu na duchowieństwo polskie, które „bezwzględnie polonizuje Litwinów" (czemu zresztą samo *Nowoje Wremia* zaprzeczyło, twierdząc, że „o polonizacyi Litwinów i mowy być nie może")...

W myśl niemoralnej zasady („obojętną jest rzeczą, kto nas, Litwinów, broni przed Polakami") *Viltis* pokumała się z czarnosecinną, polakożerczą gazetą *Bielorusskaja Żizń,* która postawiła sobie za cel główny: zrusyfikowanie Białej Rusi w duchu „nauki" Puriszkiewicza!...

Oto „prawdziwie litewskie" (oryginalne) pomyje na głowy Polaków i na młyn czarnosecińców rosyjskich... Doraźna rada *Swieta*, aby „przedstawicielom narodowego ruchu litewskiego wpojono przekonanie (sic!) o konieczności walki z Polakami", odniosła pożądany skutek. Klerykalnym szowinistom z obozu *Viltis* i *Draugija* już wpojono to „przekonanie". Dla nich „obojętną jest rzeczą, kto (i dlaczego) ich broni przed sektą mohlianistów polskich". Gotowi nawet Puriszkiewiczowi złożyć podziękowanie za... „obronę Litwy" przed ks. Administratorem Michalkiewiczem. Nie, takiego jeszcze skandalu w prasie litewskiej nie było!... Antypolska mania klerykalnych szowinistów litewskich przerodziła się już w obłęd...

Rząd Stołypina igra z Litwinami, gdyby kot z myszką. Obiecuje, że nie zje Litwy, jeżeli Litwini ułatwią mu zjeść „polskiego szczura". Obiecuje nawet „wolność w klatce" (w stylu rosyjskim). Nowoczesny Machiawel rosyjski dla wypróbowania antypolskiego lojalizmu klerykałów litewskich zamknął na parę dni wszystkie klerykalne Towarzystwa oświatowo-kulturalne (w gub. kowieńskiej). „Cyniczna manifestacya lojalizmu ze strony klerykałów litewskich (*Draugija* Nr. 50) przebłagała srogość „gospodarza domu, którego lokatorami są Litwini" (autentyczne słowa ks. A. Dąbrowskiego); zamknięte towarzystwa pozwolono otworzyć!... Bez komentarza.

Nowoje Wremia z powodu znanej afery ks. Tumasa stanęło „w obronie" Litwinów przed zachłannością Polaków. *Lietuvos Žinios* (jeden z najuczciwszych organów litewskich) bezwzględnie zaprotestowały przeciwko tego rodzaju „nieproszonej obronie", silnie zaznaczając, że „w sporze domowym, lokalnym, hańbą jest odwoływać się z prośbą o pomoc do takich indywiduów, jak Meńszikow et cons., którzy w politycznej „ruji i porubstwie" widzą „zbawienie" Rosyi"!... Jeszcze bezwzględniej przeciwko „nieproszonej obronie" czarnosecińców zaprotestował w Dumie pos. Bułat, żą-

dając od nacyonalistów, aby raczyli się nie mieszać do sporu polsko-litewskiego, aby nie tumanili i tak już otumanionysh rozumów!...

Viltis (Nr. 28), wielce zgorszona (o dziwo!) tymi protestami, udzieliła redakcyi *Liet. Żinios* i pos. Bułatowi ostrej nagany. „Nasi postępowcy — są fenomenalne słowa *Viltis* — to bardzo wrażliwi ludzie. Ilekroć Rosyanie, zwłaszcza reakcyjni, bronią Litwinów, walczących z Polakami, tylekroć ogarnia ich wielki niepokój. *Nowoje Wremia* nazwały *Lietuvos Żinios* „nieproszonym obrońcą“ za to, że broniło ks. Tumasa... Pos. Bułat również się zatrwożył, słysząc w Dumie z ust nacyonalistów Tyczinina i Wojejkowa skargi na Polaków, wynaradawiających Litwę i Białoruś. Kto nas broni i jaki ma w tem cel — czy postępuje zgodnie z etyką, czy zgodnie z zasadą egoizmu narodowego, nam się zdaje, że to uboczne pytanie; ważnem jest to, aby krzywdzonych broniono przed krzywdzicielami!“... Zaiste perfidya *Viltis* zbyt cynicznie rywalizuje o „sławę europejską“ (o markę paryską) z osławioną perfidyą *Dila* ruskiego... Trzeba być chyba zwyrodniałym Litwinem, aby nie uznać tej prostej zasady: „obrońcą pokrzywdzonych“ nie może być największy krzywdziciel — organ *Nowoje Wremia*.

Lojalizm ks. A. Dąbrowskiego sięga jeszcze dalej — tam, gdzie „wzrok nie sięga“. W *Draugiji* (Nr. 49. 50., której jest redaktorem, opublikował skandaliczny artykuł p. t. „Zasady i fakty“, którego motto da się w tych słowach wyrazić: „My, Litwini, nie tacy, jak ten oto celnik — Polak, marzący o rewolucyi, o niepodległości! My nie pożądamy zbyt wielkiej wolności! Przyjmiemy, co da nam łaska gospodarza! Brzydzimy się historyą Polski, godząc się w zupełności na genialny pogląd Iłowajskiego!“.

Ks. A. Dąbrowski podąża śladami Ignacego hr. Korwin-Milewskiego. O Murawjewie wyraża się „delikatniej“, niżli o królach polskich których wizerunki kreśli w stylu Meńszikowa. O powstaniu 63 roku tak pisze: „Wyszedł wiekuiście pamiętny manifest 1861 r. Aureola Polski gaśnie. Chrzest Litwy — jako fakt już przedawniony — staje się legendą. Patryoci polscy rozumieją to. Naśladując rząd, obiecują Litwinom wolność i ziemię, aby im pomogli zwyciężyć Rosyan... Lecz Litwini chłodno przyjmują tę polską „ewangelię“. Wyjąwszy kilku spolszczonych fanatyków à la ks. Mackiewicz i Łukoszunas, lud litewski nie bierze udziału w powstaniu“...

Tak cynicznie, tak nikczemnie jeszcze żaden Litwin (i to jeszcze ksiądz — były profesor Akademii Duchownej w Petersburgu) nie mówił, nie pisał o powstaniu 1863 r. Cyniczna manifestacya lojalizmu ks. Dąbrowskiego osięga szczyt w tych oto godnych upamiętnienia w „księdze hańby“ aforyzmach:

„Naród litewski dawniej był niepodległym, później związanym unią z Polską, a dziś żyje w wielkim pałacu państwa rosyjskiego razem z Rosyanami, Polakami i 124 innymi narodami.

„Dzisiejszym właścicielem tego pałacu państwowego jest naród rosyjski, a jego zarządcą — car Rosyi! Wszystkie 125 narodowości, zamieszkujące ten pałac, muszą pełnić nałożone na nie obowiązki i rok rocznie płacić za wynajęte mieszkanie odpowiednią daninę!

„Naród litewski, zajmujący w tym pałacu osobne mieszkanie, ma pewne określone obowiązki względem g o s p o d a r z a tego pałacu. Do niego — do gospodarza — Litwini zwracać się powinni zawsze, ilekroć zajdzie potrzeba odnowienia mieszkania, albo powiększenia okien, aby więcej światła wpływało do komnaty...

„Samowolnie burzyć to nasze mieszkanie, albo zapraszać innych, aby je zburzyli, to czyn nierozsądny. Właściciel pałacu, naród rosyjski, daleko od nas potężniejszy, łatwo może za taki czyn nierozważny „wytrzepać nam skórę“...

„Naród litewski nie powinien wzorem Polaków marzyć o wielce wątpliwej niepodległości“... I t. d. w tym samym duchu.

Ks. A. D ą b r o w s k i stanowczo robi konkurencyę Ign. hr. Korwin Milewskiemu, zapominając, że w oświetleniu promienia „e x o r i e n t e“ życie wydaje się, jeżeli nie szpitalem waryatów, to napewno grobem, pobielanym kredą... Twierdzić, że „naród rosyjski jest w ł a ś c i c i e l e m Litwy“ — znaczy plugawić godność narodu litewskiego. Naród rosyjski ma prawo do własności tylko swojej własnej ziemi! Litwa jest własnością narodu litewskiego... Litwa e t n o g r a f i c z n a! „Naród jest terytoryum, na którem ludzie posiadają wspólny dziedziczny ideał. Jeżeli naród nie strzeże własnego ideału, jeżeli odróżnia go ź l e od ideału ościennego, straci swą własną egzystencyę; pozostanie mu tylko zlać się w jedno z narodem cudzoziemskim, który się stał dla niego centrem“ (B a r r è s).

Te genialne słowa niech zapamiętają sobie klerykalni moskalofile — ugodowcy. Walka Litwy z Polską może się skończyć dla Litwinów tragicznie; wyczerpanych w nierozsądnej walce z Polakami Litwinów, którzy się łudzą, że „rząd będzie sprawiedliwy“, — łatwo już strawi nowoczesny Machiawel Rosyi. Polacy mogą utracić t y l k o k r e s y; Litwini mogą utracić i polityczną i duchową ojczyznę swoją! Oto groźne m e m e n t o dla tych, którzy Litwę uważają za... „wynajęte mieszkanie od narodu rosyjskiego“... Wstyd i hańba!

Na zakończenie tej skandalicznej kroniki jeszcze jeden fakt. Między redakcyą klerykalnej *Viltis* a czarnosecinnej *Biełorusskiej Żiźni* zaszła serdeczna „wymiana uczuć“. *Biel. Żiźń* pochwaliła się, że „zajmuje tę samą pozycyę, co i *Viltis*“, z której czerpie materyał polakożerczy. *Viltis* natomiast pochwaliła *Biel. Żiźń* — jako organ „postępowy i narodowo-demokratyczny“ — godny polecenia już dlatego, że jest jedynem pismem rosyjskiem, które sprawom Litwy, a zwłaszcza walce Litwinów z Polakami, poświęca najwięcej szpalt... Inemi słowy: *Biel. Żiźń* świetnie zohydza Polaków niby to w obronie Litwinów, e r g o jest bardzo pożądanym sprzymierzeńcem!... Zaiste dziwne „przymierze“ klerykałów litewskich i czernosecińców rosyjskich, zajmujących tę samą czarnosecinną pozycyę wobec Polaków.

Jak nazwać tego rodzaju objawy? Czy zdziczeniem, czy głupotą, czy...? Oby *Viltis* zapóźno nie zrozumiała, że „nie jest rzeczą obojętną, k t o i d l a c z e g o Litwinów broni przed Polakami“, że za „nieproszoną obronę“ i *Nowoje Wremia* i *Swiet* i *Biełorusskaja Żiźń* żądają od Litwinów, aby byli narzędziami do torturowania Polaków! Oby nie za późno... Albowiem na Litwie już się budzi reakcya przeciwko hegemonii tych, którzy dla nienawiści do Polaków poświęcili nietylko godność, honor i sławę od-

radzającej się, wyzwalającej się Litwy, lecz i zdrowy rozsądek chłopa litewskiego, którego na cyniczną formę lojalizmu i serwilizmu złapać nie można, który napewno uczci pamięć takich bohaterów, jak ks. Mackiewicz, gardząc oszczercami tych bohaterów! Tak, zaiste! kultura ludu litewskiego niema nic wspólnego z „kulturą“ ks. Dąbrowskich. Trzeba już nareszcie głośno to powiedzieć. „Kulturę“ ks. Dąbrowskich policzkuje nowoczesny Murawjew, mianując ją: rzeczywistym tajnym radcą! Tak, zaiste. *Józef Herbaczewski.*

„Biełarusskoje Obszczestwo“, powstałe w Wilnie w 1909 roku, zaczęło wydawać gazetę p. t. *Biełarusskaja Žizń* w języku rosyjskim i bynajmniej nie maskującą swych rusyfikacyjnych tendencyi. Oto kilka słów wyjaśnienia:

W roku 1906, gdy rozpoczął się budzić ruch białoruski, ukazała się *Naša Niwa,* pierwszy organ odradzającego się narodu. Rusyfikatorzy, a właściwie nazwijmy po imieniu, rząd, chcąc stłumić w zarodku niepożądane dla siebie zjawisko, rozpoczyna wydawać *Krestjanina,* gazetę „dla ludu“, coś w rodzaju warszawskiej *Oświaty,* wydawanej przez kancelaryę Imeretinskiego, z tą tylko różnicą, że dla białoruskiego ludu drukuje się ona w języku rosyjskim. Wystawiono tu hasło radykalnie rewolucyjne „ziemi, nauki, swobody“. Ta dewiza miała być lepem, na który złapać miano, że tak powiem, narodowość białoruską.

Nie powiodły się jednak *Krestjaninowi* zabiegi i ustawiczne usiłowania, aby rozbudzić antagonizm i wrogie stosunki między Białorusinami i Polakami (to bodaj było pierwszorzędnem zadaniem gazety). Powstaje więc inne towarzystwo, „Biełarusskoje obszczestwo“, które zakreśla sobie szeroki program działalności społecznej, a między innemi w swoim programie głosi tego rodzaju wezwanie:

„Myśmy Białorusini. Białoruski naród żyje; ma on swe specyalne potrzeby i żądania. Lecz najlepiej będzie, gdy zaczną wszyscy mówić tylko po rosyjsku. Nie ganimy białoruskiej mowy: nie, broń Boże! Tylko nie jest ona odpowiednia, aby się nią posiłkować w szerzeniu oświaty wśród narodu...“ „Nasze siły kulturalne są jeszcze zbyt małe i słabe, abyśmy mogli samodzielnie stanowić o sobie — winniśmy szukać ostoi w centrum naszej ojczyzny“, t j. w Moskwie i Petersburgu. *w.*

Z informacyj w prasie **ruskiej** o jubileuszowych obchodach na cześć Szewczenki znać, że stosunek społeczeństwa ruskiego do poety jest dosyć rozmaity. „Moskalofile“, uważając Szewczenkę za hajdamakę, odciągali lud od udziału w uroczystościach. Ukraińcy zawiązywali obchodowe komitety w stolicy i na prowincyi, ale niezgoda paraliżowała ich siły. Jedni z biskupów uczestniczą, a nawet przewodniczą w obchodach, drudzy zupełnie się usuwają. Ani nawet przy takiej uroczystości nie umilknęły swary; naród i stronnictwa nie zdołały zlać się w jedną duszę, pełną harmonii i zapału. Jedni drugim zarzucają brak zrozumienia ducha wieszcza, apoteozując jedynie własne w tej mierze sądy i poglądy. Wiele gazet obniżało wartość i znaczenie poety, naciągając jego zapatrywania do celów partyjnych. Słusznie też organ Demianczuka *Ruskij Sełanyn* podkre-

ślał z tej okazyi rozłam i zupełne „bezhołowie“ w ruskim narodzie, wywołane radykalizmem z jednej i przesadną obawą z drugiej strony.

Z okazyi rozwiązania parlamentu dało *Narodne Słowo* upust swemu politycznemu nastrojowi i burzliwej krwi. Lachom każe płakać, Rusini zaś nie mają czego żałować, gdyż parlament głuchy był na żądania ruskiego narodu, albowiem większa część posłów ruskich szła z Lachami (sic!!), zawziętymi wrogami naszymi. Teraz wszędzie rozlega się nawoływanie: Przygotowujmy się do nowych wyborów, do nowej zawziętszej jeszcze walki z Lachami i kacapstwem, przysposabiajmy się do walki wyborczej! Ona musi być ostrzejsza jeszcze i zawziętsza, niż w 1907 r.“ W rozwiązanym parlamencie „znalazło się dużo osłów, wybranych szachrajstwami t. j. posłowie z Koła polskiego i kacapi“; w przeciwieństwie do nich zaleca wyborcom posłów zacnych, a „takim posłem jest bezsprzecznie każdy ukraiński poseł“.

O przyszłe wybory pasują się socyaliści z narodowcami o wpływy na lud, radykalna prasa z duchowieństwem. Niedawno ruscy księża wystąpili ostentacyjnie przeciw *Diłu*, a biskup Chomyszyn w cyrkularzu do swej dyecezyi zaatakował silnie pisma „Rosyan galicyjskich“ za ich radykalizm i liberalizm, za szerzenie schyzmy. Wre też dosyć zacięta walka w samym obozie ukraińskim i różne partye stawiają swoich kandydatów, po kilku w okręgu. Niewiadomo, jak się zachowają wobec syonistów. Jeden tylko *Rusłan*, przypominając dzieje osławionego kompromisu Rusinów z Żydami w 1907 r. w Brodach i Tarnopolu, wykazuje, jak na tem zyskali tylko Żydzi, a Rusini zostali oszukani.

Ruskij Selanyn w słowach nader ostrych skrytykował dotychczasową reprezentacyę ukraińską w Wiedniu, a głównie przeważającą jej część radykalną. Prócz ruskich napisów na kolejowych biletach i stabilizacyi podatkowych egzekutorów, nic właściwie posłowie nie zrobili. Dalej rozpisuje się na temat wyjazdu metropolity Szeptyckiego do Wiednia, jak on tam „tłumaczył niemieckim i polskim ministrom, że ruscy posłowie nie tyle niebezpieczni, ile głupi, że wszystkie dotychczasowe ich błędy przypisać należy brakowi zdrowego rozumu i głupiej zarozumiałości“.

Hromadśkyj Hołos pomieścił odezwę radykalnego stronnictwa do wyborców przeciw ogólnemu komitetowi wyborczemu. Odezwa ta twierdzi, że „przyszłość wiejskiego ludu jedynie tylko w radykalnej partyi“, że za nią „siła, wolność i prawda“, więc i zwycięstwo. Operacye przedwyborcze *Diła* mieni „szachrajstwem“ i faryzeizmem. Chcąc zaś zrobić wolne i pewne miejsca dla swych kandydatów, a zarazem zabezpieczyć się przed ewentualnym zarzutem rozbijania sił narodowych, głosi wieść o grożącem niebezpieczeństwie dla ruskiej nauki, jeśli wszyscy czterej profesorowie uniwersytetu opuszczą na dłuższy czas cztery katedry, uzyskane z takim trudem.

Radykalny *Hromadśkyj Hołos* niemal na każdej szpalcie, mocno pokiereszowanej przez prokuratora, pomieszcza narzekania na krzywdy ruskiego ludu, wyrządzane przez Lachów i popów (a przemilcza żydów).

Z artykułów kijowskiej *Rady* zainteresować musi ogłoszony w nr. 57 p. t. „Żydzi w Polsce“. Autor biada, że w prasie polskiej wszystkich odłamów, „od szlachecko-nacyonalistycznego do radykalnego“ rozwija.

się kampania przeciwko ruchowi żydowskiemu w Królestwie, zakończona projektem komisyi w Dumie o ograniczeniu praw żydów w autonomii miejskiej Królestwa. Uderza dalej autor na „stan posiadania“ narodu polskiego, no i oczywiście zarzuca nam brak filantropii w polityce, że nie chcemy z wdzięcznością dzielić się z nacyą ukraińską i żydowską, mimo ich zgłoszenia się do podziału. Za źródło ruchu antysemickiego uważa „nacyonalizm gnębiciela“, pragnącego nadal utrzymać zbójecką pięść na gardle gnębionego sąsiada. Po tym wstępie o żydach, przechodzi autor do opisu duszenia żydów na Ukrainie, w Galicyi i... na Madiarszczyźnie („na Mad’arszczyni“). Czy autor przypadkiem nie pomylił się w nazwie geograficznej? Zapewne chciał powiedzieć: na Mołdawszczyźnie.

Artykuł kończy cytat z Pisma świętego, zaopatrzony w myślniki wielokropkowe i wiele mówiące: Jaką miarką mierzycie, taką i wam odmierzonem będzie...

Interesującym jest także inny artykuł *Rady* w nr. 60 p. t. „Europa i Ukraina“, poświęcony pamięci Björnsona, że pokazał „pierwszy“ Europie, jakto świetne powieści Sienkiewicza osnute są na gruncie historycznej krzywdy. Drugi etap w zbliżeniu Ukrainy do Europy widzi autor w założeniu pisma *Ukrainische Rundschau*, która według słów jego „jedyna niesie na sobie ciężkie brzemię informowania Europy w sprawach ruskich“ i ona jedna tylko podaje wiarogodne wiadomości o polskiej bojówce we Lwowie, co zabijała niewinnych studentów ruskich.

Sprawa Kocki i Siczyńskiego ciągle żyje w prasie ruskiej, informacye jej o kulcie ich, szerzonym namiętnie śród młodzieży, są częste. Wydaje się nawet książki, apoteozujące obu hajdamackich „bohaterów“, jak ich sami nazywają. Książka „Jak sądzili M. Siczyńskiego“ (pierwsze wydanie skonfiskowane) doznaje nie mniejszego szacunku jak „Kobzar“ Szewczenki! Przy przeglądaniu prasy ruskiej odnosi się nawet wrażenie, że pewne jej odłamy więcej zajmują się dwoma rzekomymi „herosami“, niż nieśmiertelnym piewcą. Skutki ubóstwiania Kocki i Siczyńskiego objawiają się też wśród młodzieży w bardzo jaskrawych barwach, o czem w ostatnich czasach donosiły komunikaty lwowskiej policyi.

Co do niefortunnej interpelacyi klubu ukraińskiego w parlamencie w sprawie akademików ruskich, zajął *Rusłan* bardzo ostre stanowisko, nazywając atak Trylowskiego na sądownictwo galicyjskie wielkim błędem politycznym, który w skutkach swych podkopał jedynie szacunek i powagę klubu w oczach rządu i parlamentu.

Pisząc o spisku ruskiej pajdokracyi, ubolewa *Rusłan* nad wciąganiem przedwczesnem młodzieży w kadry politykomanów, cytując charakterystyczną przestrogę Dragomanowa, który w rozpolitykowaniu młodzi widział wielkie niebezpieczeństwo dla nauki i zasad etycznych.

Nywa, dwutygodnik poświęcony sprawom kościelnym, pisała w nrze 6 o polonizacyi Rusinów przy pomocy „polskiej“ wiary, o przeciąganiu Łemków na katolicyzm itd. Równocześnie zwracała się przeciw liberalnemu czy radykalnemu kierunkowi *Diła*, z którym walcząc, duchowieństwo ruskie rozdwaja siły i nie może ich wytężyć w jedną stronę: przeciwko duchowieństwu polskiemu.

Ten sam mniej więcej duch wieje z artykułu „W interesie pra-

wdy“ w nr. 7 *Nywy*. Autor jego Omeljan Horczynśkyj, „czując się zmuszonym“ podać parę koniecznych sporostowań do artykułu nr. 5-go: „Czy my galicyjscy Rusini jesteśmy rzymsko-katoliccy, czy grecko-katolicy?“ — staje w stosunku do duchowieństwa łacińskiego na tem samem stanowisku, co jego poprzednicy, nazywając propozycyę *Gazety kościelnej*, żeby na świadectwach szkolnych pod rubryką „religia“ pisać tak dla Polaków, jak dla Rusinów „rzym.-katolicka“ — „nowym dowodem prowokacyi“ ruskiego społeczeństwa, nowym argumentem na to, „jak bracia Polacy nie wzdrygają się nawet świętości wiary, religii, używać dla celów szowinistycznych, nacyonalnych“. Wiadoma rzecz — pisze autor — jak u Polaków podkreśla się to, że wiara rzymsko-katolicka zrosła się z ich narodem; dziś doszło do tego, że w Galicyi rzymski katolik — to synonim na oznaczenie Polaka. Stąd powszechne wprowadzenie nazwy „rzymsko-katolicki“ uważanoby za „początek końca nacyi ruskiej“.

Stronnictwo „staroruskie“, utworzywszy „Związek imienia św. Jana Złotoustego we Lwowie“, zaczęło wydawać własny kwartalnik, organ „duchowo-cerkiewny“ p. n. *Cerkownyj Wostok*, żeby przeciwdziałać *Nywie*. Według artykułu wstępnego pierwszego zeszytu, będzie pismo działać w duchu Chrystusowym, w duchu jedynego prawdziwego Kościoła katolickiego, którego głową widomą jest papież. Sprawami narodowemi zajmować się będzie tylko ubocznie, postanawia jednakże zwalczać ów „nacyonalizm“, który przejęty jest duchem pogańskim i szerzy nienawiść ku innym ludom. Czy i o ile nowe pismo nie będzie popierać interesów Rosyi, to okaże przyszła jego działalność.

Niedawno (27 lutego st. st.) powstał nowy odłam partyi staroruskiej pod nazwą: Hałycko-russkaja Rada, do której przystąpiło sporo duchowieństwa, inteligencyi i wieśniaków, a która oświadcza, że nie ciąży ku Rosyi i nie chce prawosławnej wiary.

Wiadoma rzecz, jak przeważna część ruskiej prasy przypisuje Polakom wzrost moskalofilstwa. Jeden *Rusłan* nie omieszkał zwrócić uwagi, że do ich wzrostu najwięcej właśnie przyczynili się radykali.

Narodne Słowo w nr. 490 pomieściło arcyciekawy fejleton „Lwów przed 100 laty“, napisany 20 marca 2011 r. Autor „wielki uczony ukraiński“, żyjący w 2011 r. pisze o wyglądzie Lwowa przed stu laty, t. j. w roku niniejszym i po upływie stu lat, kiedy już miasto jest zupełnie ruskie. Na miejscu dawnych nazw ulic, nowe nazwy ruskie, tam, gdzie stały polskie pomniki, widnieją posągi Kocki etc. Z polskości zostały nikłe strzępy, namiestnik ruski, uniwersytet wyłącznie ruski, właściciele realności tylko Rusini, rada miejska też, szkolnictwo także...

Rusłan w nr. 73. w artykule „Co piszą o naszym narodzie?“ zadaje sobie pytanie, co właściwie przejęli Rusini w Galicyi od Polaków? Odpowiada tak: „Na polu ekonomicznem prawie nic; na polu kulturalnem, prawda, mogliśmy niejedno wziąć sobie od nich za przykład, ale pod wpływem ich haseł politycznych i nacyonalistycznej zagorzałości nauczyliśmy się od nich tylko złego: nienawiści, a nie miłości“. I tak przechodząc różne przedmioty po kolei, których Polacy niby Rusinów uczą, konstatuje wielkie fiasco polskiej pedagogii i dochodzi do ciekawego wniosku: „zwyczajnie podoba się nam u nich to, co najgorsze“. *ek.*

Z prasy **rosyjskiej** mamy do zapisania poważny głos przestrogi: P. W. Kaszkarow (znany czytelnikom *Świata Słowiańskiego*) współredaktor dziennika *Utro Rossii*, omawiając (Nr. 332. r.) artykuł prof. M. Zdziechowskiego (*Świat Słow.* Nr. 69. 70), stwierdza bankructwo neoslawizmu. „Myśmy powinni pragnąć, aby potęga i rozwój jakiegokolwiek narodu słowiańskiego nie były tamowane przez samych Słowian“ — powiedział Dr. Kramař, otwierając konferencyę praską. „Ideę słowiańskiej solidarności — pisze p. Kaszkarow — wykanwowano pięknym jedwabiem na sztandarze neoslawizmu, pod którym stanęli i polscy i rosyjscy delegaci... Po dniach wielkich nadzieji i oczekiwań nastały dni gorzkiego zawodu i rozczarowania. Dr. Kramař, niewybredny w wyborze i doborze sojuszników, związał się z nacyonalistami i prawicą październikowców. Hr. Bobrinskij w kilka tygodni po „uczcie praskiej“ zgromił Polaków ku wielkiej radości *Swieta*. Nastąpił „krach neosłowiański“. Lecz jeżeli neoslawizm umarł — kończy p. K. — to nie umarła sama idea. Ta idea rośnie i, być może, w niedalekiej przyszłości zakwitnie pod sztandarem tego neoslawizmu, który na kamieniu węgielnym budowanego chramu wypisał hasło równouprawnienia wszystkich narodów słowiańskich, oraz zasadę wolności samookreślenia narodowego“...

Niemiecki „Drang nach Osten“, lekkomyślnie popierany przez rząd rosyjski, któremu wciąż jeszcze zależy na „dobrym humorze“ Kaisera Niemiec, słusznie niepokoi i przeraża p. Kaszkarowa. W trzech artykułach („Niemiecka polityka kolonizacyjna“, „Niemiecka kolonizacya w Król. Pol.“ i „Niemiecka kolonizacya na południu Rosyi“), opublikowanych w *Utro Rossii* — na podstawie dokładnych danych statystycznych stwierdza, że kolonizacyjny podbój Rosyi szybko postępuje naprzód. Ekspansywnie kolonizacyjną politykę Niemiec najlepiej — zdaniem p. K. — charakteryzuje opinia znanego socyologa niemieckiego, Karola Entscha (*Zeit* 1903 r.): „Krainą, którą sama Opatrzność przeznaczyła narodowi niemieckiemu — jako miejsce odpływu nadmiaru energii narodowej — jest Wschód blizki; przegrodą do tej krainy jest Rosya, która — jako źródło wrogiego kulturze despotyzmu — jest jedynym prawdziwym wrogiem Niemiec“! Tą właśnie zasadą kierują się politycy niemieccy. Jako straż przednia, koloniści niemieccy zajmują wzdłuż zachodniej granicy Rosyi najważniejsze placówki, z których żadne ograniczenia prawne już nie zdołają ich wyprzeć... „W chwili obecnej — stwierdza p. K. — Niemcy w Królestwie Polskiem stanowią 12·75% całej ludności. Przeszło milion dziesięcin ziemi jest w ich posiadaniu. Charakterystycznem zjawiskiem jest to, że przeważna większość kolonij niemieckich nietylko w Królestwie Polskiem, lecz i na Wołyniu rozłożyła się w pobliżu twierdz rosyjskich!... Koloniści utrzymują bardzo żywe stosunki ze „Związkiem wszechniemieckim“, który zasila ich znacznemi subsydyami. Liczba niemieckich szkół (t. zw. „kantoratów“) w niektórych guberniach przewyższa liczbę rządowych szkół początkowych (w r. 1904 w gub. lubelskiej szkół rządowych było 57, a kantoratów 47)... W gubernii wołyńskiej koloniści niemieccy już posiadają 700.000 dziesięcin ziemi (t. j. 12% roli). W rajonie, obejmującym Rosyę południową i Kaukaz, w r. 1902 było 540 wsi niemieckich, z których 60 liczyły po 1000 z górą mieszkańców...

Spotęgowany rozwój kolonizacyi niemieckiej w Król. Polskiem i w Rosyi południowej — kończy p. K. — nie może być dłużej tolerowany — tem bardziej, że z powodu Niemców-kolonistów cesarze Niemiec mają pretekst do mieszania się w sprawy wewnętrzne Rosyi"... Niestety! Rosyę oficyalną zahypnotyzowały Niemcy. „Istinno rosyjscy" Niemcy rządzą Rosyą, a „istinno rosyjskimi" Niemcami — Berlin. Dzieje się według „opatrznościowej" woli Wilhelma II. Żadne ograniczenia nie pomogą. Przeciwnie, przyspieszą tylko wybuch, którego oficyalna Rosya, wciąż jeszcze zaawanturowana na Dalekim Wschodzie, panicznie się obawia.

Straż przednia Niemiec w Rosyi wnet zaśpiewa „Wacht an der Weichsel — Wacht am Memel — Wacht am Dniepr"! Rosya — jako państwo „stupajków", prowokatorów, łapowników, czarnosecińców — nie może stawić czoła Niemcom, którymi rządzi i kieruje geniusz organizacyi! Walczyć z Niemcami statecznie mogłaby tylko wolna Rosya, gdyby wolną być chciała i umiała...

Zresztą sam p. Kaszkarow przeczuwa „tryumf" Niemiec w niedalekiej przyszłości. W artykule „Rosya i Słowianie" (*Utro Ros.* Nr. 19) rzuca słowa przestrogi pod adresem Rosyi: „Jeżeli w interesie narodów słowiańskich leży, aby Rosya była potężną, to tem bardziej w interesie Rosyi leży, żeby Słowianie nie utracili swych tradycyjnych pozycyj na zachodzie i południu Europy. Każde bowiem wzmożenie się Niemców kosztem Słowian utrudnia Rosyi obronę granicy zachodniej!... Głęboko się mylą ci, którzy w rozpędzeniu Polaków na wszystkie strony świata widzą jedyną gwarancyę pokoju na zachodzie Rosyi. Trzeba już nareszcie rozwiać to błędne mniemanie, że los narodu polskiego jest poza sferą losu narodu rosyjskiego, że my, Rosyanie, możemy obojętnie traktować wydziedziczenie Polaków z ich ziemi ojczystej. Już pora poniechać walki, niszczącej narody i polski i rosyjski. Na sumieniu publicystów ciąży ten święty obowiązek: wnieść więcej światła, więcej prawdy, więcej pokoju do sfery wzajemnych stosunków!... Gwałt i kłamstwo muszą zginąć. Wszystkie sprawiedliwe żądania Polaków trzeba spełnić koniecznie! Jeżeli nie głos sprawiedliwości, to instynkt samozachowawczy musi wyprowadzić nas na jasną drogę pojednania z Polakami"...

Boleśnie smutne marzenia szlachetnego Rosyanina! Instynkt samozachowawczy oficyalnych pasorzytów Rosyi prowadzi Rosyan na ciemną drogę — na żerowisko, na „ucztę głupoty i ohydy"!.. *h.*

Prasa rosyjska powiększyła się o jeden miesięcznik, poświęcony wyłącznie Słowiańszczyźnie, wychodzący w Petersburgu od lutego p. t. *Sławjanstwo.* Jest to „postępowy, bezpartyjny, niezawisły" miesięcznik, wydawany przez młodzież rosyjską przy współpracownictwie pisarzy różnych narodowości słowiańskich, przeważnie ludzi młodych. Zamierza on wszechstronnie i objektywnie zaznajamiać czytelników z historyą, bytem, literaturą, sztuką, kulturą, politycznem, społecznem i ekonomicznem życiem, zwłaszcza współczesnem, wszystkich narodów słowiańskich. Dalekim jest — jak głosi słowo „Od Redakcyi" — od jakichkolwiek szczególnych sympatyi do tego lub owego narodu, a chce jedynie współdziałać w celu uświadomienia i zbliżenia Słowian ku sobie i wprowadzenia w życie idei solidarności słowiańskiej, z uwzględnieniem jednakże właściwych każdemu naro-

dowi warunków rozwoju i dążeń. Solidarność wszystkich słowiańskich narodów opiera *Sławjanstwo* na podstawie zupełnego i nienaruszalnego prawa każdego bez wyjątku narodu do kulturalno-narodowego rozwoju.

W duchu tego credo jest też utrzymany artykuł: „W imię lepszej przyszłości naszych narodów“ pióra Mieczysława Grzybowskiego, Polaka.

Dalsze artykuły, jak „Dramat krakowski“, omawiający ostatnie zaburzenia na krakowskim uniwersytecie ze stanowiska t. zw. postępowego, nie przynoszący nic nowego nad krótkie streszczenie obszernych w tej sprawie tendencyjnych artykułów krakowskiego *Naprzodu* — albo „Słów parę z okazyi pięćdziesięcioletniego jubileuszu zniesienia pańszczyzny w Rosyi“, Życiorys Szewczenki“, „Zmiana bułgarskiej konstytucyi“ są powtórzeniem jedynie rzeczy powszechnie znanych już z dzienników. Ciekawszą jest tylko rzecz o handlu Rosyi z państwami bałkańskiemi i jeden z listów archireja Porfiriusza z r. 1856 do Elżbiety Eiler o zjednoczeniu Słowian i o pojednaniu religijnem Wschodu ze Zachodem. Zeszyt zamykają recenzye i kronika. Odpowiedzialnym redaktorem pisma jest W. Strojew.

Towarzystwo „Kultury słowiańskiej“ ma drukować na łamach *Sławjanstwa* sprawozdania ze swej działalności.

Na razie nie można jeszcze wydać stanowczego sądu, czy nowe czasopismo przyjmie charakter poważnego pisma naukowego, przynoszącego rzeczywiście coś nowego i czy przewyższy miarę zwykłych pism studenckich. Zależeć to w znacznej części będzie od tego, czy osoby, niektóre nawet wybitne i dobrze znane, które przyrzekły redakcyi współpracownictwo, zechcą czynnie poprzeć usiłowania *Sławjanstwa*. W takim razie mogłoby pismo zająć poważne stanowisko, czego należy mu życzyć z polskiej strony. Jestto bowiem pismo uczciwe, a względem Polski jak najżyczliwsze.

ek.

Główny publicysta obozu **młodoczeskiego,** Josef Penížek (o którym w *Świecie Słowiańskim* była już nieraz mowa), ogłosił w kwietniowym zeszycie miesięcznika *Česka Revue*, nader zajmujący i pełen doniosłości artykuł p. t. Krise. Zastanawia się najpierw nad genezą ostatniego przesilenia, które doprowadziło do rozwiązania parlamentu: Baron Bienerth zapomniał, że prawdziwy statysta „powinien politykę przygotowywać i robić sam... mieć własne pomysły i zaczyny, narzucać je i wsuwać, suggerować i wtłaczać innym“ — a nie „być i pozostawać nieruchawym, a bierność podnosić do godności swego systemu i swych rządów“.

Opozycyę przeciw Bienerthowi zrobili właściwie Niemcy, pomimo to, że byli mu stokrotnie zobowiązani do wdzięczności. Już w grudniu 1910 powinien był premier postawić kwestyę wobec nich jasno. „Z ludźmi, którzy żyją z łaski rządów i sfer decydujących, którzyby skurczyli się do jutra, gdyby dziś ustał podtrzymujący ich nacisk, nie trzeba robić wielkich ceremonij. Baron Bienerth mógł był przerwać ich bierny opór łatwo, dokładnie i szybko, jak to zrobił z równoczesnym oporem urzędników państwowych w Tryeście, gdyby był powiedział Niemcom bez ogródek i zastrzeżeń: Panowie, wy ze szkodą i ujmą innych używacie przywilejów

które się wam nie należą. Cała władza państwowa, cała egzekutywa i cała administracya angażowaną jest dla was, a przez to przeciwko innym. Takie udogodnienia i przywileje nakładają na was obowiązki. Zdecydujcie, czy chcecie je spełniać!" Ale premier bał się urazić Niemców, a przyczyn przesilenia szukać należy i tak w polityce zagranicznej. Austrya jest w berlińskiej niewoli politycznej teraz bardziej, niż kiedykolwiek przedtem.

Dla Czechów kłopot podwójny, bo równocześnie „musimy się bronić w jednakiej mierze przeciw naszym jugosłowiańskim sprzymierzeńcom w Słowiańskiej Jednocie. Wszak w delegacyach „Dr. Trešić-Pavičić chciał Czechom zakazywać, żeby mieli swój sąd o tryalizmie, jak gdyby byli pod kuratelą Chorwatów", a z powodu kampanii Dra Šusteršiča przeciw Dr. Kramařowi trzeba było z Jednoty zrobić istny trybunał sądowy... Czesi nałożyli na siebie dla miłości Jednoty same tylko ofiary, z których nie mieli żadnej dla siebie korzyści. Nadejdzie chwila — „oby była blizką!" — że Czesi „będą woleli być sami, niż z takimi przyjaciółmi!"

Niemieccy liberali tracą zaufanie wyborców. Zdarzyły się w owym czasie cztery wybory uzupełniające; dali sobie ledwie radę, poprosiwszy pokornie o pomoc stronnictwo chrześcijańsko-społeczne. Przymierze to skończy się zdaniem p. Penižka na tem, że z czasem chrześcijańsko-społeczni dostarczać będą liberałom gdzieniegdzie pomocy tylko pod tym warunkiem, że otrzymają też nawzajem sami pomoc do zdobywania mandatów w Czechach, potrzebnych im, żeby mieć wpływ na sprawy czesko-niemieckie. Ze stronnictwa wiedeńskiego, następnie dolno-austryackiego, chcą stać się stronnictwem ogólno-państwowem, dlatego starają się o mandaty na Bukowinie i w Czechach. „Skoro je zdobędą, zrzucą skórę stronnictwa chrześcijańsko-społecznego, podobnie jak zrzucili skórę stronnictwa antysemickiego i dadzą sobie nazwę stronnictwa konserwatywnego".

Czesi nie zyskają nic przez wstąpienie tego stronnictwa na terytoryum królestwa czeskiego. Dr. Luegera „antysemityzm był fałszywy, jak nie jedno w nim, a raczej wiele; ale jego usposobienie antyczeskie i antyczeska działalność były prawdziwemi, niefałszowanemi, bezwzględnemi, radykalnemi". Chrześcijańsko - społeczni porozumieją się przeciw Czechom nawet z tymi, którzy głoszą „los von Rom!" A doświadczenie uczy, że chociaż wszechniemcy mają swego cesarza w Berlinie, mogą być pomimo to stronnictwem rządowem w Wiedniu, nawet dworskiem. Baron Bienerth nie śmiał oświadczyć niemieckim liberałom, że się bez nich może obejść bez tych „żywiołów, na których i tak nie może polegać, które wegetują z jego poręki" — a równocześnie nie pozyskiwał sobie „stronnictw i narodów wiernych, lojalnych, roboczych". Wolał dymisyę Brafa, niż żeby odmówić czegokolwiek... Dr. Weidenhofferowi.

Ażeby zyskać głosy liberałów niemieckich dla pożyczki 75 milionowej, dał bar. Bienerth 230.000 na koleje lokalne, przeciw którym przedtem zajmował stanowisko oporne. „Gdyby Dr. Głąbiński przeprowadził był akcyę o finansowe zapewnienie kolei lokalnych przez państwo odrębnie, jako akcyę ludową, jako potrzebę ekonomiczną, miałby zasługę. Zrobiwszy atoli z kolei lokalnych przyprzążkę, żeby pożyczkę wyciągnąć w górę, pozbawił się wszelkiego efektu".

Liberałowie tryumfowali,. ale „krótkiemi będą radość i rozkosz, przebudzenie bolesne, zawód wielki i trwały“.

Z trzech gabinetów bar. Bienertha — wywodzi dalej p. Peniżek — najgorszy jest trzeci. Sam premier, jest to „przyzwoity, rozsądny, czysty, optymistyczny biurokrata“, nie mający zdatności do tego, żeby przewodzić swoim kolegom, swojej większości, a przez nią parlamentowi (umieli to tylko Taaffe i Beck). Kwalifikacye członków trzeciego jego gabinetu — rzeczowe — gorsze, niż poprzednich. „Dra Bilińskiego zwalczaliśmy, bo zdolnościami swemi utrzymywał system antyczeski. Ale musimy przyznać, że o północy zbudzony ze snu, wiedział i umiał więcej, niż dr. Meyer czuwając w południe“.

Bar. Bienerth, widząc niechęć związku niemiecko-narodowego, powinien był zaraz podać się do dymisyi, a dopiero potem należało grozić rozwiązaniem Izby.

Artykuł ten był pisany 25 marca, a kończy się następującem zdaniem: „wczoraj w piątek, odroczyli komisyę budżetową. To pierwszy etap. Odroczenie Rady Państwa będzie drugim. Rozwiązanie jej trzecim i ostatnim; tymczasem“.

W trzy dni potem, 28 marca, posyłał p. Peniżek redakcyi *České Revue* postscriptum, już po odroczeniu Izby, a zapowiadając jej rozwiązanie ponownie i to „lada chwili“. Powiadają, że Czesi rozbili parlament. Prawda! Będą na nas wywierać złość, bo niemal wszyscy boją się nowych wyborów. Nie szkodzi! „Oderint, dum metuant“... „Jeżeli Polacy zgrzytają zębami ze wściekłości, dobrze im tak. Mogli byli sami nadać inny kierunek i inną cechę rozwojowi spraw. Mogli, ale nie chcieli“. Czesi zaś pokazali, że nie można ich lekceważyć, że nawet czeska cierpliwość ma granice. „Może rozliczne czynniki w tem państwie stacą ochotę do powtórzenia niefortunnej ery od 13 listopada 1908 do 27 marca 1911“. — Nowych wyborów Czesi się nie boją. Tylko niech kandydaci nie zobowiązują się do żadnej taktyki parlamentarnej z góry, bo taktyka da się ułożyć dopiero potem, w Wiedniu „na boisku parlamentarnem“; pod tym względem muszą mieć posłowie zupełnie wolną rękę.

Artykuł jest pełen nadto ustępów epizodycznych, które pominęliśmy, jako przerywające zasadniczy tok myśli autora. O słowieńskich „klerykałach“ mowa kilka razy z ogromnym żalem. Między innemi powiedziano o Šušteršiču: „Jabym mu niewierzył, choćby najświętszą przysięgę składał przed ołtarzem“...

Żałujemy doprawdy, że brak miejsca nie pozwala nam roztrząsnąć tego ważnego artykułu krytycznie. Trzebaby na to miejsca sporo, bo p. Peniżek dotyka wielu spraw bezpośrednio, a drugie tyle porusza „między wierszami“. Pozwolimy sobie tylko na jedno pytanie: Co Czesi (a w szczególności młodoczesi) robili i robią, ażeby zapoznać się z polityką polską na wiedeńskim terenie i nawzajem Polakom dać poznać swoją? Jak dotychczas — nic. *K.*

W prasie **słowackiej** zdarzają się jeszcze kiedyniekiedy starcia między „starymi“ (będącymi już — jak się powszechnie utrzymuje — na wymarciu) konserwatystami i rusofilami, a młodą generacyą demokratyczną.

Narodnie Noviny i *Slovenske Pohlady*, będące w ręku tamtych, wietrzą u „młodych“ często zdradę i zaprzaństwo, a nawet zaprzedaństwo, a zaślepieni w swych sympatyach ku Rosyi bardzo podejrzliwie spoglądają na zbliżanie się Czechów do Słowaków. Z tego też stanowiska trzeba zapatrywać się na ostatnią polemikę *Narodnich Novin* i *Slovenskego Dennika*. Škultety w numerze 28 *Nar. Novin* zarzucił profesorowi praskiego uniwersytetu, Pastrnkovi, że w 1893 r. pod pozorem zbierania materyałów gwarowych rozesłał po Słowaczyźnie listy, w których się pytał, czyby nie było odpowiedniem, żeby Słowacy odstąpili od swego języka i przyjęli literacki język czeski, a później zaś prowadził akcyę w tej sprawie przy pomocy przekupionego A. Bielka.

Pastrnek ogłosił nato w *Slovenskym Denniku* list wyjaśniający całą sprawę, a redakcya (nr. 55) pod adresem „starych“ dodała te słowa: „Co się tyczy języka słowackiego, stoimy na tem stanowisku, że mowy nie zmienia się, nie fabrykuje podług filologów, lecz że naród ukształca ją, doskonali i zamienia w język (piśmienny) dla swoich potrzeb. Faktem jest, że *Nar. Noviny* i *Slov. Pohlady* w ciągu wielu lat rusyfikowały piśmienność słowacką tak, że powstają skutkiem tego nieprzyjemności w samym Turczańskim św. Marcinie; na słowackim wschodzie tworzy się nowa mowa literacka, na zachodzie zaś czeszczy się ona nazbyt, ale panowie literaci i filozofowie znajdują „zamiłowanie“ w dziwnem rusyfikowaniu. Jak to wytłumaczyć? Może jest w tem nieco szczególnej próżności, ale tłumaczymy sobie to tem, że ci panowie dochodzą aż do głupoty z „miłości“ ku Czechom, od którychby Słowaków chcieli oddzielić chińskim murem“!

Slovenske Ludove Noviny w numerze 10 pomieściły w sprawie Polaków na Węgrzech list Słowaka z Orawy, zgadzającego się w zupełności na list Szaryszanina w tejże samej sprawie (zob. nasz numer z marca str. 221): „gdyż sprawa ta rzeczywiście tak się przedstawia“. Korespondencya wzywa, by Polacy zajęli się swymi braćmi na Węgrzech górnych i wywalczyli dla nich polskie szkoły i księży polskich, co tem łatwiej może się udać, że ludność polska żyje zwartą masą. *ek.*

Obydwa główne stronnictwa **słowieńskie** starły się podczas wyborów do lublańskiej Rady miejskiej, dokonanych już na podstawie nowej ordynacyi, uchwalonej przez sejm dzięki inicyatywie i przewadze ludowców (vulgo „klerykałów“). Obmyślili proporcyonalny system głosowania taki, żeby sami mogli wejść do Rady, dotychczas przed nimi zamkniętej — ale też pociągnęli za sobą Niemców. Przewidywali to sami, ale nie cofnęli się przed tem. Nowa Rada miejska liczy liberałów 23, katolickich ludowców 14, Niemców 7 i jednego socyalistę.

Hrvaški kmet i jego stanowisko na południu słowiańskiem jest wedle *Slovenca* (Nr. 59) czynnikiem ważnym dla idei zjednoczenia jugosłowiaństwa. Dziennik lublański stwierdza, że chłop chorwacki to „največja sirota v celi Evropi“. Ustawodawstwo chorwackie krzywdzi chłopa na każdym kroku, a czuwa jeno nad interesami wielkich posiadaczy. Ustawa lasowa szczególnie dotyka chłopa, bo lasy są majątkiem gmin, ale zarząd nimi sprawuje rząd, nie gminy same. Kmieć musi sobie drzewa kupić, takoż i gmina musi płacić za drzewo, a rąbanie bez pozwolenia

karane bywa drakońsko. Według ustawy łowieckiej zastrzelona przez chłopa sarna kosztuje go 500 kor. kary, zając pański zastrzelony ma cenę krowy. Kredyt dla chłopa chorwackiego najniższy jest 8%, zwykle 10 procentowy. Kto płaci podatku do 800 kor., wolen jest od dodatków szkolnych, ale płacić je musi podatkowiec 6 i 8 koronowy. Problem zatem jugosłowiański ma ważne zadanie uprzednie do spełnienia, podnieść chłopa chorwackiego choćby do równi ze słowieńskim, serbskim i bułgarskim. Wniosek *Slovenca* brzmi: pomagać chorwackiemu chłopu, bo to warunek prawego i zdrowego zjednoczenia Jugosłowian. *mg.*

Z prasy **serbskiej** wart jest zapisania głos, zamieszczony w zagrzebskim *Sibobranie* (Nr. 53—55). Jest to długie pismo pseudonyma „A l j u s z y“ — ciągnące się przez trzy numery — do jakiegoś nienazwanego przyjaciela p. n. „I d e j e i l i l i č n o s t i“ z mottem z „Beniowskiego“ (III. 91—2). Idzie autorowi o to, jak się mają Serbowie zachowywać wobec Chorwatów i swych „panów“ politycznych poza wolnem królestwem. Postać Wallenroda Mickiewiczowego może się przyjacielowi wydawać wzorem, ale dla autora nim nie jest i nie będzie. Konrad Wallenrod bowiem, to zjawisko ideowe tylko; jeśliby się zjawił w życiu realnem, byłby to wyjątek i zjawisko chwilowe, przelotne — nie stałe. Ludzi bowiem, coby zdołali tak żyć w ustawicznem kłamstwie, w ciągłej rozterce z planami a stosunkami zewnętrznymi, takich ludzi nie znajdzie dziesiątek, cóż dopiero na tysiące liczyć. Wallenrod „ne može da bude program za nas obične ljude, za tebe i druge, koji misle kao ti“.

Przyjaciel autora stoi na stanowisku jedności narodowej, a w takim razie „żadna praca dla Chorwacyi nie może być pracą „dla drugiego“, lecz dla naszego jednego narodu chorwackiego i serbskiego“. Dla zwolennika tej jedności praca nad ekonomiczną i polityczną emancypacyą Chorwacyi, to praca i dla Chorwatów i dla Serbów. A jeśli Chorwaci nie zdołają się i nie zechcą się opierać sile politycznej zewnętrznej? „Jeśli my (Serbowie) wydzierżymy do ostateczności, a oni (Chorwaci) padną własnowolnie, a nie od przemocy, to nasza korzyść będzie większa. Chcemy stworzyć tradycyę walki i ofiarności“. Autor przyznaje, że „mogliby się znaleść Chorwaci, coby zaniechali walki za Chorwacyę, jako walki cięższej, i w zamian, aby swoją zdradę osłonić przed narodem, szukaliby wolnej ręki wobec nas (Serbów) i poszliby po łatwiejsze wawrzyny. Otóż, gdybyśmy (Serbowie) zaniechali walki, tobyśmy pomogli tylko uprawić grunt pod taką „chorwacką politykę“. „Ona jest naszą ojczyzną, to jest ziemią, gdzie panuje nasza mowa, nasze narodowe zwyczaje i obyczaje, do której jest los nasz przywiązany. To uznajesz i ty, choć nie jesteś związany z ziemią, ale tylko z ową narodową masą, która jednak każdą żyłą do ziemi tej przyrosła“. *mg.*

N o w y m i e s i ę c z n i k s e r b s k i p. t. *Novi Život* rozpoczęto wydawać w Priedorze. W pierwszym zeszycie znajduje się obszerny program, jakim kierować się będzie pismo, aby oświetlać wszelkie sprawy, dotyczące obecnych zagadnień i prądów życia społecznego narodu. Strona historyczna ma stanowić najważniejsze zadanie organu, albowiem ona jest głównym czynnikiem uświadomienia i odrodzenia narodowego. — Cena zeszytu 2.40 k. *(w).*

Z PRZESZŁOŚCI SŁOWIANOFILSTWA W POLSCE.

(Odezwa Centralizacyi do ludu rosyjskiego z r. 1853).

Kiedy Rosya, wszczynając wojnę wschodnią, wysłała wojska do Mołdawii i Wołoszczyzny, demokratyczna Centralizacya wydała obszerną odezwę do ludu rosyjskiego, podpisaną przez Worcella, Żabickiego i Zienkowicza[1]). Nieco rozwlekła i płaczliwa, usiłowała ona pobudzić Rosyan do wspólnej z Polakami walki przeciwko despotyzmowi carów.

W streszczeniu tak brzmi:

Ludu rosyjski! Bracia Rosyanie!

Nie pierwszy to raz, my Polacy, odzywamy się z głębokości utrapienia naszego, wołając o braterstwo i miłość, o prawa i sprawiedliwość, — do ciebie Ludu Rosyjski, do was Bracia Rosyanie, — bo do rządu waszego nigdy takiej mowy z naszej strony nie było i nie będzie.

Lecz do ciebie — Ludu Rosyjski! Do was Rosyanie! bracia nasi w Bogu jako w spólnym nam Ojcu, — bracia nasi w spólnej nam Sławianom naszej matce pierwotnej, — do was Rosyanie, bracia nasi, wołać o braterstwo i miłość, obowiązkiem naszym było, jest i będzie!

To też zdawien dawna, jak ta okropna gniecie nas niewola, wołaliśmy do was rok za rokiem, dzień za dniem: Cośmy wam zawinili? O Bracia!...

Ażaliż nie mówiliśmy do was Bracia Rosyanie, wypłaszając z legowiska, które był na ziemi naszej założył, on nie człowiek, ale zwierz dziki, a który nietylko na naszej świętej ziemi polskiej, ani na waszej świętej ziemi rosyjskiej, ani na całej świętej ziemi sławiańskiej, nie godzien był i na chwilę znaleść jednej piędzi ziemi do postawienia swej stopy.

I ażali nie mówiliśmy do was z bruku warszawskiego, kiedy Lud Polski, czcząc publicznym obchodem śmierć Męczenników Rosyjskich, niósł na polskich ramionach swoich trumnę kirem polskim okrytą, na której stały napisy: Pestel, Bestużew, Rylejew, Murawiew — Apostoł, Kochowski, — niósł ją do waszej świątyni rosyjskiej i zaklinał was, was Bracia Rosyanie, on Lud Polski, na klęczkach, roszący łzami swemi kamienie, abyście się pomścili krzywd polskich i rosyjskich; — i to w chwili, w tej samej chwili zawiązywał takie przymierze z tobą, Ludu Rosyjski, kiedy przez Sejm swój polski zrywał ostatnie swe ogniwo z rządem tyrańskim i detronizował twojego i swojego tyrana, wołając: Precz z Mikołajem!

I ażaliż nie mówiliśmy także do was, o Bracia! z pól Grochowa, Wawru, Ostrołęki, z wałów wreszcie Warszawy, gdzie tyle krwi braterskiej, krwi waszej i naszej się przelało, gdzie tyle do dziś dnia waszych i naszych kości się tyra, czyśmy nie mówili do was ze straży naszych bojowych onemi chorągwiami z napisem: Za Waszą i Naszą Wolność.

Powstanie listopadowe upadło, ale jak nigdy, tak też i tą razą nie upadły cnota i poświęcenie polskie.

---

[1]) *Demokrata polski*, dnia 15 sierpnia 1853 r.

Polska męczeńska przeniosła nędzę i tęsknotę tułactwa nad zhańbienie się pokłonem swym carowi i poszła w świat, opuściła Ojczyznę...

A kiedy ludy zdziwione tym niesłychanym i niewidzianym dotąd pochodem, pytali: Tułaczko-Polsko! gdzie idziesz? tedy ona odpowiadała im:

Idę walczyć za Ojczyznę i Ludzkość.

Idę walczyć za Sprawiedliwość, za Wolność, Równość i Braterstwo ludów.

Idę walczyć dla wyzwolenia braci moich z niewoli, dla skruszenia ich kajdan i kajdan całego świata.

Idę walczyć, o Ludy! dla złamania przegród oddzielających was, które niedopuszczają, abyście się uściskali jako synowie jednego Ojca, stworzeni, byście żyli we wzajemnej miłości, kochali się jak bracia...

A nie brakło też w owych czasach i skąd inąd wołania. Z łona uroczystości w Paryżu obchodu rocznicy powstania z r. 1830, szedł głos z piersi spółziomka waszego, Rosyanina:[1]). Zgoda Rosyi i Polski jest dziełem olbrzymiem i godnem wielce, aby mu się oddać z całem poświęceniem.

To jest wyzwolenie wszystkich ludów w jarzmie niewoli jęczących; to jest nareszcie nieochybny upadek despotyzmu w Europie. Niechże więc przyjdzie ów wielki dzień zgody, dzień, w którym Rosyanie połączeni z Polakami jednem uczuciem, walczący za jedną z niemi sprawę, będą mieli prawo wznieść z Polakami ów hymn wolności słowiańskiej: Jeszcze Polska nie zginęła!

Taki głos rwał się z piersi waszej rosyjskiej, sławiańskiej. I zrozumiały głos ten wszystkie serca polskie w kraju i na tułactwie, bo oto ze wszystkich piersi polskich, ile jest ich tylko szlachetnych, rwał się głos ogólny: Tak jest Bracia! Nienawiść powinna wreszcie ustąpić wzajemnej rozwadze dwóch ludów tegoż samego początku i tegoż samego dążenia; bo Sławianie winniśmy się kochać jak bracia i do jednego i tegoż samego iść celu: Wolności..

Bracia Rosyanie! zlitujcie się nad sobą! Przestańcie być przedmiotem pogardy i przekleństwa za zbrodnie cara waszego...

My wierzymy, że ta dłoń polska, którą wyciągamy dziś do was, poczuje uściśnienie dłoni bratniej rosyjskiej, jako je poczuła za czasów Bestużewów i Pestlów, bo co zasiane, zejść musi.

Raz tylko, raz tylko jeden zadajcie sobie pytanie: Co wam po tej waszej i naszej niewoli? Co wam po tej niewoli polskiej? Co wam po tej wojnie w Turcyi, która wam żadnej krzywdy nie wyrządziła i żadnego powodu do wojny nie dała?... Bracia Rosyanie, o wolność ziemi waszej własnej, o szczęście wasze własne na ziemi waszej, nie zaś o niewolę i niedolę waszą i braci waszych, czas, byście się starać poczęli nareszcie.

. . . .

Odezwa ta nie pozostała bez odpowiedzi. Była nią broszura Hercena pt. Polacy nam przebaczają (Poljaki proszczajut nas). Napisana ognistym stylem sprawiła ona w swoim czasie ogromne wrażenie w Rosyi.

---

[1]) Bakunina.

Krew i łzy, rozpaczliwa walka i straszliwa porażka, pisze w tej broszurze Hercen — sprzęgły Polskę z Rosyą. Kawałami rwała Rosya żywe ciało Polski, odrywała prowincyę za prowincyą i jak nieuchronne licho, przysuwała się coraz bliżej ku jej sercu. Zajęciem Polski zaciągnęła Rosya pierwszy czarny grzech na swą duszę. Podział ten pozostanie na jej sumieniu.

Polska przebacza Rosyi, Polska wzywa Rosyę do braterstwa. Ze strony Polski zapomniane są krzywdy, przebaczony gwałt, poświęcona nienawiść. Ona prawa, zbolała, wyciąga ku wam swą rękę. Hańba nam, jeżeli jej uścisnąć nie potrafimy. Ja czuję, żeśmy godni tego przymierza. Połączymy się z Polakami we wspólnej walce „Za naszą i ich wolność", a grzech Rosyi będzie odkupiony.

Szła więc odezwa na odezwę, naiwność na naiwność. Ileż zmarnowano sił przez to, że wypisanie się bywało surogatem życia! Fabryka odezw — maska dla nieświadomej bezczynności!

Edmund Kołodziejczyk.

Recenzye i sprawozdania.

Grzegorzewski Jan: *Grób Warneńczyka. — Badania autentyczności grobu przy 4-tym kilometrze pobojowiska warneńskiego z dn. 10 listopada 1444 r.* Z 14 załącznikami. — Kraków 1911. 8⁰ str. 90. Nakładem Akademii Umiejętności. — (Odb. z „Rozpraw Wydziału filologicznego, Serya II t. XX (ogólny t. XXXV).

Z wielką ciekawością bierze się tę rozprawę do ręki i ze względu na temat i ze względu na autora, głośnego, lecz nie jako badacza źródłowego, a który występuje z pracą, przyjętą przez Akademię Umiejętności do swoich wydawnictw i to do rozpraw wydziału filologicznego, a nie historycznego, jakby wskazywał tytuł dzieła. Bo też praca ta, wielostronna, należy najbardziej do działu folkloru i w tym dziale należy się jej miejsce wybitne.

W czerwcu 1909 r. otwarto grób zwany „Keszik-Basz" przy 4-tym kilometrze gościńca od Warny w kierunku północno zachodnim. Autor, bawiący podówczas w Sofii, zwraca się zatem do marszałka Galicyi z memoryałem i zawiadomieniem o całej tej sprawy przebiegu, by i kilku uczonych z Galicyi przybyło na miejsce, śledzić tę sprawę, nieobojętną dla naszej przeszłości. Wycieczka tych uczonych nie przychodzi jednak do skutku. Autor zostaje sam i dzięki bułgarskiemu ministerstwu oświaty i pomocy archeologów miejscowych, braci Szkorpilów i Jerzego Dymitrowa, bada te wykopaliska, miejscową tradycyę, literaturę turecką historyczną i te badania przedstawia w wydanej przez Akademię książce.

Jak niewielu tylko z naszych historyków i uczonych, nietylko nie pomija wcale badań etnologicznych, podań miejscowych, wierzeń, ale je zbiera i rozbiera. Jest to szczegół w metodzie i badaniach naukowych wcale ważny i nieobojętny wcale, a rzadko stosunkowo wyzyskiwany, rzadko przez badaczy uwzględniany.

Opisawszy teren pobojowiska pod Warną w dzisiejszym jego stanie, przechodzi do przebiegu słynnej bitwy z 1444 r. Ma źródło nowe, a to w pierwszym historyku tureckim Sead-ed-dinie z czasów Solimana Wielkiego (XVI w.). Ów historyk, jako szeich-ul-islam, miał dostęp do wszystkich archiwów współczesnych i był nauczycielem trzech sułtanów. Przytacza ustęp z kroniki jego w polskim przekładzie.

Kurhanów jest na pobojowisku dwanaście, a rozmieszczenie widzimy na załączonej mapie. Istniały już one przeważnie w XV w. i są w znacznej mierze pochodzenia trakijskiego. Mauzoleów-grobów natomiast jest cztery, a z tych zw. „Pasza-boba-tekesi" (Keszik-basz) ma być grobem Warneńczyka. Różne różni autorowie podają o tych kurhanach wersye. Na jednym miała być zatknięta kopia z traktatem pokoju turecko-węgierskim, na „kara-papas-mezary" miał stanąć w połowie XIX w. pomnik na cześć Warneńczyka, postawiony przez dywizyę jen. Zamoyskiego (w 1854, ale rychło potem zburzony), na innym wreszcie pomnik tryumfalny turecki na pamiątkę zwycięstwa pod Warną, który także gdzieś zginął bez śladu. Autor utrzymuje, że w „Pasza-boba-tekesi" został pogrzebany Władysław Warneńczyk, podczas gdy historyk Nikolau i H. K. Szkorpil uważają to za grób tureckiego przywódcy Karadża-beja. Tureckie źródła nie wspominają ani słowem o miejscu grobu, inne zaś wskazują jużto dwa kurhany zw. Meszelik, jużto cerkiewkę grecką w Warnie, co przypuszczał także zrazu H. K. Szkorpil. W różnych zaś kurhanach i mauzoleach grzebią Warneńczyka wierzenia ludowe i różnie go też nazywają, mieniąc go czasem tylko wojewodą, inne za to aż... św. Janem Chrzcicielem.

Zarówno słowiańskie, jak tureckie opowieści najczęściej wyznaczają dla niego mauzoleum „keszik-basz-tekesi". Rozkopała je przy pomocy poszukiwaczy skarbów stara Bułgarka, Todora Ilijewa, w ostatnich dniach czerwca 1909 r., gdyż, jak powiada, miała sen i św. Jan Chrzciciel jej się ukazał w gloryi i dawał do zrozumienia, że w tym grobie są jego szczątki; poszła ich zatem szukać i ustanowić tam nabożeństwo na cześć św. Jana.

Autor analizuje nazwy grobu: „Kesik-basz-tekesi" i „Pasza-boba tekesi". Wyrażają one po polsku: Mauzoleum „głowy uciętej". Z powodu tej nazwy rozbiera p Grzegorzewski utwór poetyczny turecki „Keszik-basz", którego autorem mieni Solimana Czelebi, co jednak uważa za hipotezę. Powstanie utworu oznacza na wiek XV lub początek XVI. Utwór to bardzo symboliczny. Ów „Kesik-basz" — to starzec o głowie uciętej, a ogromnie ciężkiej, który w końcu przemienia się w młodzieńca chrobrego. Poemat ma znaczenie hagiografu, a dużo mistycyzmu i ewolucyi suficznej metamorfoz, przez jakie przechodzi bohater utworu. Sama fabuła znana także dobrze chrześcijanom w Anatolii i Rumelii.

Samo mauzoleum opisuje autor dokładnie i szczegółowo, załączając plan i przekrój. W miejscu, gdzie znajdować się powinnaby głowa nieboszczyka, ziemia jest znacznie głębiej wykopana i tu stoi słup milowy rzymski z czasów cesarza Septimiusa Sewera Piusa z odpowiednim napisem łacińskim... Grób był własnością Turków do ostatnich czasów (funduszu religijnego muzułmanów bułgarskich). Znaleziono w nim trzy szczątki kości ludzkich, kamień wapienny sześcianowej formy, obrazek mosiężny o bizantyńskim charakterze (to znajduje się w policyi warneńskiej),

2 monety, spruchniały obrazek drewniany i krzyż takiż, wysadzany masą perłową. Tylko co do kości — nie jest jeszcze stwierdzone, czy to te same, co były w grobie istotnie, czy też nie inne, przez Todorę podrzucone. „Teke“ oznacza mauzoleum po turecku, dla bohatera tylko, poległego w bitwie, stawiane. Pochowany jest tu chrześcijanin, którego losy mają związek z nazwą „uciętej głowy“. Poległ pod Warną wprawdzie wybitny wódz turecki Karadża-bej, ale ten nie miał uciętej głowy i gdzieindziej musiał być pochowany, jak to autor omawia obszernie, dalej na zachód od tego mauzoleum „keszik-basz“. Fabułę o „keszik-baszu“, świętym tureckim, przypisuje autor owemu, wyżej wspomnianemu utworowi poetycznemu.

Ale legendy warneńskie wikłają się z wspomnieniami o Janie Hunyadim, którego osobę pomięszano z Warneńczykiem, a z czasem także z carem bułgarskim Łazarzem; zrobiono Hunyadego królem Węgier, a także i południowych Słowian. Epitet „kara“ (czarny, pod względem fizycznym i moralnym), do niego się odnosi. „Jahija“ zaś — to przekręcone, przekształcone na tym różnojęzycznym terenie półwyspu bałkańskiego imię Jan, a raczej to wyrażenie tureckie, odpowiadające imieniowi Jan. W jednem ze źródeł historycznych tureckich znalazł autor zdanie: „Jeden z junaków, usiekłszy głowę królowi Jankowi i utkwiwszy ją na halabardę, padyszachowi odniósł“. Toteż nic dziwnego, że odbywała się tu substytucya nieboszczyka tegoż mauzoleum „Kesik-basz-tekesi“ i to zarówno w świecie tureckim, jak i chrześcijańskim; że uważano go to za króla, to za wielkiego wojewodę, to za cara bułgarskiego, czyli że i Hunyady'ego tutaj połączono i wmięszano z jego imieniem Janko, Jankuła, Jahija, co potem pod wpływem stosunków wzajemnych, całego dalszego rozwoju fabuły samej i wiary ludowej, przerodziło się powoli w to, że grób ten i ze strony tureckiej i ze strony bułgarskiej uznano jako grób jakiegoś błogosławionego, świętego. A ten kult rozpoczął się naprzód u chrześcijan; że zaś z powodu ucisku i kontroli tureckiej nie mógł on się objawić wyraźnie, więc podstawiono tu kult św. Jana Chrzciciela, może początkowo świadomie, a potem utrzymał się on i w rozmaitej formie wyrażał. A za tym przykładem poszli i Turcy i tu także czcić zaczęli w XVI lub XVII w. jakiegoś swojego wybitnego męża, dobroczynnego, wspaniałomyślnego, kóry nienawidzony przez rozpasanych w XVII w. janczarów, został przez nich z zemsty i nienawiści zamordowany. Te wszystkie ewolucye, substytucye folklorystyczne i religijno-mistyczne, których nie brak zupełnie w literaturze i opowieściach bułgarsko-albańskich i tureckich, rozbiera autor bardzo szczegółowo w ostatnich dwóch rozdziałach.

W całej pracy znać niezmierną staranność w przeprowadzeniu i udowodnieniu swojej myśli i sądu, a badanie na różnolitym opiera się materyale — historycznym, lingwistycznym i folklorystycznym. A jednak nie odnosi się wrażenia, żeby autor udowodnił był stanowczo, że to mauzoleum jest grobem Warneńczyka. Rozprawa jest ciekawa bardzo i interesująca, przynosi wiele nowych szczegółów i nowych myśli, ale zasadniczą jej treść musimy uznać jeszcze za hipotezę, którą bliżej i dokładniej trzeba będzie jeszcze rozebrać. Książka p. Grzegorzewskiego będzie zapewne nieraz jeszcze przedyskutowana, bo wartą jest jak najdokładniejszej rozwagi i przestudyowania. *Dr. M. Goyski.*

E Grim. *Paweł Stalmach, jego życie i działalność w świetle prawdy.* Cieszyn 1910.

Książka powyższa, przeznaczona dla ludu śląskiego, przekracza ramy popularnej rozprawy i z pożytkiem również może być czytaną przez sfery inteligentne. Obok treściwego życiorysu Stalmacha, prostującego wiele błędnych zapatrywań na jego życie i działalność, daje także jego pamiętniki, dotychczas niewydane. Świadczą one wymownie, że dzieło narodowego odrodzenia Śląska, którego inicyatorem i duszą był Stalmach, dokonywało się pod dwoma hasłami: polskości i idei słowiańskiej.

Do r. 1840 ludność śląska, nawet inteligentna, nie poczuwała się do narodowości polskiej. Zdawało się jej, że tworzy narodowość „śląską“, będącą pomostem do niemieckiej. Duch polski obudził się dopiero za przykładem ruchu umysłowego Czechów i Słowaków. Pod tym wpływem grono młodzieży z Stalmachem na czele zorganizowało w 1842 roku stowarzyszenie polskie w celu kształcenia się w języku polskim. Czytano tam książki polskie, a także i czasopisma słowiańskie, których pożyczano od Czechów. „Największego znaczenia dla nas były *Slavische Jahrbücher*, wydawane w Lipsku, bo rozszerzały nasz pogląd na sprawy słowiańskie i wzmacniały poczucie narodowe“, pisze Stalmach w pamiętnikach.

Na tej drodze polsko-słowiańskiej pozostał pionier odrodzenia już przez całe życie.

Po skończeniu gimnazyum ewangielickiego w Cieszynie, udał się na studya filozoficzne, będące wówczas uzupełnieniem nauk gimnazyalnych, do Preszburga. Kolegami jego byli tutaj Słowacy, Serbowie, Chorwaci, Rusini, Słowieńcy, a z poza granic Węgier Czesi, Bułgarzy i jeden Łużyczanin. Towarzystwo to miało więc dla Stalmacha niemałe znaczenie. Zawarł też ścisłą znajomość z młodzieżą, kupiącą się w stowarzyszeniu słowiańskiem. Było ono — pisze Stalmach — właściwie słowackiem, lecz przyłączyli się do niego również inni Słowianie, a więc i my Ślązacy korzystaliśmy z tego. Tu miewał Ludovit Štur odczyty o literaturach słowiańskich i był on bardzo lubiany nietylko z powodu tych wykładów, ale też dla przyjacielskiego obchodzenia się ze studentami, a wogóle był u Słowaków wielce poważany, dlaczego wybrano go też posłem na sejm. To słowackie towarzystwo posiadało też ładną bibliotekę i w niej dzieła we wszystkich językach słowiańskich; tu poznał dzieła nowszych autorów polskich, bo Słowacy wiele lubowali się w literaturze polskiej, a nadewszystko cenili Mickiewicza, Trentowskiego i Czajkowskiego. Prócz tego towarzystwo to otrzymywało mnóstwo czasopism słowiańskich. Można tedy było obznajomić się z ruchem piśmienniczym całej Słowiańszczyzny. Ówczesna wolność węgierska umożliwiała to.

„Miałem sposobność — pisze dalej — poznać się z różnymi narodowcami słowiańskimi i w ich towarzystwie obznajomić się z ich językami... Oprócz kolegów z cieszyńskiego gimnazyum, najwięcej styczności miałem ze słowackimi, między którymi byli: Janko Král, Pauliny, Mudroń, Tuszo i td.

W drugim roku studyów Stalmacha zaprowadzono na Węgrzech język urzędowy madiarski w miejsce usuniętej łaciny. Z tą chwilą też

rozpoczęły się represye Słowian. W Preszburgu rozwiązano studenckie stowarzyszenie słowiańskie, a Šturowi zabroniono wykładać literaturę i historyę słowiańską.

W Preszburgu powziął Stalmach zamiar założenia pisma polskiego na Śląsku w celu uświadomienia ludu. Tak pisze o tem w pamiętniku: „Już w gimnazyum cieszyńskiem, widząc u kolegów czeskich czasopisma czeskie, rozmyślałem, jakby i dla ludu polskiego na Śląsku polskie czasopismo mogło być pożytecznem. W Preszburgu znalazłszy w stowarzyszeniu słowiańskiem tyle różnych czasopism słowiańskich, między niemi także kilka polskich, przeświadczyłem się jeszcze więcej o ich pożyteczności i o ich wpływie na naród i wtedy powziąłem myśl starania się, aby i w Cieszynie mogło wychodzić pismo polskie. Zachęcał mnie do tego także Ludovit Štur, który po rozwiązaniu stowarzyszenia studentów słowackich zaczął wydawać *Slovenske Noviny*. Żyłem z nim w przyjaźni i często pomagałem mu w odpisywaniu niemieckich korespondencyj jego".

Myśl tę powiodło się wreszcie Stalmachowi zrealizować. Po zjeździe praskim 1848 r., w którym brał czynny udział, rozpoczął swą pracę narodową i pomimo rozmaitych prześladowań nie ustał w niej, pozostając wiernym przekonaniom z lat młodzieńczych. Wiekopomnem dziełem jego pracy jest rozbudzenie życia polskiego na Śląsku, i zapoczątkowanie walki o wyzwolenie Śląska z pęt germanizacyjnych. *ek.*

Tad. Stan. Grabowski. *Romantyzm polski wśród Słowian. Wpływy i pokrewieństwa.* Lwów 1910, 8⁰, str. 44.

Zajmująca i ciekawa ta rozprawa jest rozszerzonym odczytem, wygłoszonym w dniach 29 i 30 października 1909 r. we Lwowie na zjeździe, poświęconym uczczeniu Słowackiego. Zajmuje się wpływem wielkiej naszej poezyi romantycznej na twórczość Słowian zachodnich i południowych i procesem wpajania się naszej idei narodowej w ich duszę i poezyę. Objaw to niezmiernie ciekawy i dla nas zaszczytny, gdyż nasza literatura, gorącym patryotyzmem przepojona, była czynnikiem odrodzenia narodowego dla większości ludów słowiańskich, wydobywających się dopiero w początkach XIX stulecia z okowów uśpienia i niewoli. Na ścisłe, nie na hipotezach, ale na faktach rzeczywistych i szczegółowej analizie oparte studyum naukowe z tego zakresu jeszcze nie można się zdobyć. Materyał bowiem zbyt wielki, zupełnie nie badany i gruntownie nie roztrząsany, tak odnośnie do ogółu literatur słowiańskich, jak i poszczególnych z osobna.

Z tego też powodu autor, wykrywając w literaturze Kaszubów (których piśmiennictwo — naszem zdaniem — możnaby całkiem śmiało pominąć, jako polskie prowincyonalne), Łużyczan, Czechów, Słowaków, Słowieńców i Chorwatów — pokrewne tony, które napewno lub może budziły się pod naszym wpływem, musiał się ograniczyć do pobieżnego szkicu raczej jakby statystyczno-bibliograficznego, niż literackiego. Zasługą autora to będzie, jeśli praca jego pobudzi innych do szczegółowych badań wędrówki ducha polskiego na rozmaitych ziemiach słowiańskich, co ułatwi i umożliwi zbudowanie syntezy. *ek.*

Knjige Slovenske Matice (Książki Macierzy Słowieńskiej) w r. 1910.

1) Z wieku i urzędu pierwsze miejsce należy się w rzędzie wydawnictw Macierzy słowieńskiej jej *Letopisowi,* bo on daje obraz działalności rocznej tej instytucyi. W roku ostatnim Macierz zapoczątkowała wydawnictwo przekładów z piśmiennictw obcych, wykluczając dzieła niemieckie, a główną wagę kładąc na utwory słowiańskie. Przygotowała też „Dzieje narodu słowieńskiego", nie wydane jednak jeszcze, ponieważ rychło się ma ukazać takaż książka nakładem „Družbe sv. Mohorja" i autor pragnie skorzystać dla siebie z uwag krytyki. W przygotowaniu również znajduje się wielki słownik techniczny, aby i tym sposobem pomódz technice i sztuce narodowej. Wreszcie wysłano do wojskowego instytutu geograficznego mapę ziem słowieńskich do odbicia w 8000 egzemplarzy.

Macierz utrzymywała stosunki z 52 towarzystwami i otrzymała od nich jako i z redakcyj 631 dzieł i wydawnictw. Członków miała Macierz 4069 (3834 rocznych z wkładką 4 K). Instytucya ta miała swoich przedstawicieli na różnych uroczystościach narodowych u innych narodów słowiańskich (w 1909 we Lwowie na jubileuszu Słowackiego). Na walnem zebraniu dorocznem (21 marca 1910) wygłosił prezes Macierzy, dr. Fran Ilešič swe uwagi „o moralności w życiu słowiańskiem", w których główną jest myśl, że każdy prawie naród słowiański patrzy z góry na pobratymca, sądzi o nim z uprzedzenia, a nie z przekonania się własnego i skutkiem tego tak się Słowianom trudno poznać, zrozumieć i pokochać. Bardzo chętnie wzajem się krytykujemy i to jak najostrzej.

„Matica" zamienia wydawnictwa swe z 59 instytucyami (w tem polskich 2 tylko, a tyleż także ruskich). Budżet za rok 1909 wykazuje 44127·59 K, z czego 699·50 K deficytu, rok zaś 1910 przedstawia się budżetową sumą 23755·76 K.

Dzieł literackich wydano w roku 1910 trzy, a to

2) I część powieści dr. Ivana Laha „Brambovci";

3) przekład znanej i w Polsce powieści Zeyera „Jan Marija Plojhar" przekładu Podlimbarskiego (na przyszłość zapowiedziano przekład z dzieł Prusa); nakoniec

4) dra Fr. Deteli powieść „Pegam in Lambergar". Ów Pegam, to imię ogólno-narodowe i znaczy Czech, a imię tego Czecha było Jan Vitovec. Był to jeden z rycerzy husyckich. Bojował przeciw Fryderykowi IV., dziedzicowi hrabstwa cylejskiego, spustoszył silnie Krainę. Pieśń ludowa opowiada, że dopiero rycerz z białej Lublany Lambergar zdołał go pokonać. Cesarz pytał zwycięzcę, czy chce w Wiedniu zostać, czy też woli wrócić do Krainy. I kończy powieść gminna:

Lambergar si Kranjsko zvolj',
Kjer je srečen zadovolj.
(Lambergar sobie Krainę wybiera,
Gdzie miał szczęścia w pełnej mierze).

Na tem tle dziejowo-ludowem osnuł Detela swą powieść, która dla tego godną być może i polskiego przekładu.

Naukową treść i znaczenie posiadają książki następujące:

5) Dra Bogumiła Vošnjaka „Ustava in uprava ilirskih dežel", i

6) Dr. M. Potočnika „Koroška, II. del (zgodovina)".

Praca dra Vošnjaka o organizacyi i administracyi ziem illirskich jest pracą bardzo poważną i obszerną (285 str.). Obejmuje ona czasy 1809 - 1813 i ma być pomocną przyszłemu dziejopisowi francuskich rządów w ziemiach słowieńskich. Autor wyzyskał zbiory archiwum narodowego w Paryżu, archiwum w Lublanie i Karlowcu. Na dwie części dzieli się studyum: I. historyczne, filozoficzne i prawnopaństwowe podstawy napoleonowego systemu ustawodawczego i rządowego; II. organizacya i zarząd Illiryi. Illiryę utworzył Napoleon, jako straż przednią w sercu Austryi, przed wrotami Wiednia. Usiłował w niej ustanowić francuskie nauczanie, zarząd i ustawodawstwo. by uczynić krok nowy ku odnowieniu Europy. W przytoczonym tu memoryale mówi Napoleon, że wziął „Illiryę jako zastaw, by ją zamienić potem za Galicyę celem wskrzeszenia Polski, któremu pomagał mimo swej woli... gdyż mało mię to obchodziło, na czyjej głowie spocznie korona polska, na przyjacieslkiej, sprzymierzeńczej czy nieprzyjacielskiej“.

Książka ostatnia jest przystępnem opowiadaniem o losach Karyntyi czyli Korutan od czasów najdawniejszych, w epoce rzymskiej, wiekach średnich i czasach nowych Jestto część wielkiego dzieła, jakie Macierz rozpoczęła, by dać całokształt dziejów i opisu ziem słowieńskich. Dotychczas wydano już: S. Rutara „Beneška Slovenija“ 1899 (1·40 kor.), Fr. Orožna „Vajvodina Kranjska“ 2 t. (3·20) i I. część „Koroške“ dr. Potočnika — a obecnie część drugą. — Pradziadowie dzisiejszych Słowieńców karyntyjskich wprowadzali Habsburgów na swą stolicę książęcą; aktu tego dopełniano w języku słowieńskim. Od r. 1907 ordynacya wyborcza pozwala mieć Słowieńcom, którzy tu stanowią trzecią część ludności, jednego tylko wysłańca do parlamentu, gdy Niemcom zabezpiecza 9 mandatów, choć tylko dwie trzecie liczby ludności stanowią.

Jan Magiera.

Ante Beg: *Slovensko-nemška meja na Kočevskem* (Słowieńsko-niemiecka granica w Koczewiu). V Ljubljani 1911. Založil L. Schwentner. Str. 47 z mapką. Cena 80 hal.

I Niemców i Słowieńców i naszego Korytkę zastanawiała zagadka, skąd się w sercu ziemi słowieńskiej wzięli Niemcy i co to właściwie za ludność? Bo nawet nie mówią po niemiecku! Niemieckie zdanie: der Esel strauchelte und fiel ins Wasser — brzmi w ustach Koczewianina: Ażele trczen an grczen at filetes zboser (w pisowni polskiej). U nich pisać zwie się pisan; kozica = kozicle, starszy = staraszine, ślinić = slinen i t. p. Coś niby nasi Wilamowiczanie. Domniemanie istnieje, że to korutańscy Niemcy, pomieszani z Frankami i Szwabami, bo przeszło 10 nazw miejscowości mają wspólnych Koczewianie z Korutanami. Ich nazwa pochodzi zapewne od słowa: koča (chata). Od r. 1492 rozwinął się u nich duch wędrowny, duch handlarzy podróżnych; włóczą się po miastach niemieckich, jako domokrążcy, legitymują się, że są członkami niemieckich towarzystw „obronnych“; żyją łatwo. Świat niemiecki opiekuje się nimi i daje im więcej, niż potrzebują. Wszakże dla 18.529 Niemców koczewskich (w r. 1900) istnieje gimnazyum, a dla uczniów jego ofiarował swego czasu kupiec Stampfl z Pragi 200 tysięcy kor., równocześnie przeznaczając osobno 46.000 kor. na parcelę pod

budowę szkoły przemysłowej. Przy rozszerzaniu gimnazyum upominał ich książę Auersperg: „Bracia Niemcy, nie dopuśćcie, by zginęła wyspa koczewska, bo przez nią możemy i musimy dojść do Adryi".

Koczewie zajmuje dwunastą część powierzchni całej Krainy. Miasto Koczewie (Gottschee) leży w dolinie szerokiej na pół godziny drogi, a długiej trzy godziny drogi. Miasta ważniejsze na tej wyspie narodowościowej są: Koczewie (w r. 1900 Niemców 1783, a Słowieńców 255), Novo mesto (Rudolfswert), Žužemberk, Črnomelj. Tęrytoryalnie Niemcy w ostatnich 20 latach nie stracili ani skrawka ziemi, a chociaż ludnościowo nie wzrośli, bo wielu się włóczy po świecie, dużo ich jedzie do Ameryki, przecież tężeją ciągle, wchłaniając w siebie żywioł słowieński, o czem świadczy wielka liczba nazwisk z brzmieniem i pochodzeniem słowieńskiem. I Niemcy są ciągle w ofenzywie, nigdy na stanowisku obronnem. Ich rozsiedlenie najlepiej studyować można na mapie „Sprachenkarte von Krain" dra Wuttego, dodanej do jednego z zeszytów *Deutsche Erde* w r. 1909.

Autor nasz omawia statystycznie każdą gminę mieszaną w Koczewiu, zestawiając liczby spisowe z lat 1890 i 1900. I oto jak było w głównem mieście, Koczewiu: Roku 1890 Niemców 1040, Słowieńców 92; w r. 1900 Słowieńców wprawdzie 255, ale Niemców 1783. I podobnie wszędzie. Co robić? Ponieważ Słowieniec osiadły w ośrodku niemieckiem się aklimatyzuje, przeto muszą Słowieńcy się osiedlać stronami (około Koczewia, w okręgu rybnickim i Starej Cerkwi).

Ale i w Górnej Krainie niebezpieczeństwo niemieckie rośnie dla Słowieńców. Beg wskazuje na Jesenice. Roku 1880 było tam na 1478 ludności 40 Niemców, r. 1890 na 2045 już 144, a w r. 1900 na 3604 aż 239. Od otwarcia nowej linii kolejowej liczba ich gwałtownie się wzmaga. Dodajmy do tego, że na utrzymanie szkoły Schulvereinowej ofiarowała kraińska kasa oszczędności 40.000 kor. Całe szczęście jeszcze dla Słowieńców, że oba ich stronnictwa polityczne tutaj przynajmniej zgodę zawarły w obliczu wzmagającego się wroga. Ale n. p. Fužine (w pobliżu Trbiža-Tarvis) już niemieckie.

Słowieńcy mają już wytknięte swe granice w Korutanach i na Węgrzech. Teraz jeno straże na kresach czułe ustawić. *mg.*

С. ЧИЛИНГИРОВЪ **(S. Czilingirow):** Славянска Антология. *(Słowiańska antologia).* Sofia, 1910. str. 175.

Z powodu zjazdów słowiańskich, jakie w lipcu ub. roku odbyły się w Sofii, Bułgarzy przygotowali szereg ciekawych i pożytecznych wydawnictw, jużto dla informacyi gości, jużto dla uświetnienia kongresów. Między innemi ukazała się i powyższa antologia poezyi słowiańskiej, w redakcyi St. Czilingirowa, a w przekładach całego szeregu współczesnych i dawniejszych poetów bułgarskich.

Widzimy wśród długiego legionu nazwisk, obok tłumaczy przygodnych i imiona poetów pierwszorzędnych, najwybitniejszych dzisiaj w Bułgaryi, jak n. p. Penczo Sławejkow, Kiril Christow lub Iwan Wazow. To samo już daje rękojmię, iż rzecz pomyślano i wykonano starannie i z wielkim nakładem pracy, usiłując wybranym utworom słowiańskiej poezyi nadać w bułgarskim języku szatę jak najpiękniejszą.

O wszystkich naturalnie utworach powiedzieć to się nieda, ale przeważająca część rzeczywiście w sposób artystyczny oddaje piękno oryginału. Nadto i zewnętrzna strona książki, opatrzonej bardzo piękną okładką artystyczną malarza X. K. T., zasługuje na wszelkie uznanie. Tak wydanych książek bardzo mało spotyka się jeszcze w Bułgaryi. — Autor nadto zaopatrzył album w krótką przedmowę i treściwe notatki biograficzno-bibliograficzne na końcu książki, podające najważniejsze daty z życia i działalności poetów.

Niebrak jednak i ujemnych stron w antologii. Przedewszystkiem wybór pisarzy i utworów z niektórych literatur słowiańskich nie stoi w żadnym stosunku do rozwoju i wartości poezyi w tych literaturach. I tak n. p. z chorwackich poetów znajdujemy zaledwie trzech i to jeden z literatury dubrownickiej (Š. Menčetić), jeden „illir" (P. Preradović), a jeden współczesny (M. Nikolić), wcieleni do grupy pisarzy serbskich, liczącej 11 pisarzy, choć poezya chorwacka bodaj czy nie bujniejszy i wyższy przedstawia stopień rozwoju, aniżeli właściwa serbska.

Podobnie się ma ze Słowakami i Rusinami, których wcielono do grupy „czeskich" i „rosyjskich" poetów. Przy imieniu Słowaka A. Sladkoviča przynajmniej dodano objaśnienie „slovaški poeta" (str. 56.), natomiast T. Szewczenkę, Jakowenkę i P. Jakubowicza bez żadnego komentarza ochrzczono etykietą „russkich liudiej". Łużyczanie nie doczekali się ani jednego przekładu. Za to rosyjskich imion spotykamy aż 38 (odtrąciwszy trzech Rusinów 35), a między nimi i trzeciorzędnych, jak najrozmaitszych Apuchtinów, Batiuszkowów, Delwigów, Poleżajewów etc., których i w samej Rosyi mało kto zna naprawdę. Stosunek rosyjskiej „reprezentacyi" do innych jest taki: Serbów 14 (w tem 3 Chorwatów) Słowieńców 5, Czechów 7 (w tem 1 Słowak), Polaków... 6. — Autor widocznie wedle rozmiarów państwa rosyjskiego lub ilości jego mieszkańców, a nie z rozwoju poezyi brał miarę i przeprowadzał swą „statystykę". Nic dziwnego, że rosyjska poezya zajęła pół książki. (Str. 87—158 i biografie.).

Już z samej liczby polskich poetów widzimy, że dział polski pozostawia wiele do życzenia. Naprzód wybór: Asnyk (El-y nie A. Ley! str. 65.), Konopnicka, Kraszewski, Lenartowicz, Mickiewicz, Gomulicki (nie Homulicki! str. 86.); ich zaś utworów razem 16. Najwięcej z Mickiewicza. Dano Alpuharę, Trzech Budrysów, Pieśń gminną, Grób Potockiej, Bakczysaraj, Czatyrdah, Stepy akermańskie, Żeglugę i Odę do młodości. Co do jakości przekładów, najlepsze pochodzą z pod pióra dwu cenionych poetów: K. Christowa (Trzech Budrysów, Pieśń gminna, 3 krymskie sonety) i I. Wazowa (Alpuhara, Grób Potockiej), nie wiele zaś ustępują im przekłady i dwu innych przygodnych tłumaczów: G. Stojnowa (Oda do młodości) i Chr. Kesiakowa (Jedna piosnka Asnyka, „Sclavus saltans" Konopnickiej, „Dziad i baba" Kraszewskiego i „Żegluga" Mickiewicza).

Dr. Kesiakow zasłużył się już i wielu innymi przekładami i rozprawami z literatury polskiej. Jako wychowanek odrinskiego (adryanopolskiego) „Collège Polonais", w którem było dawniej wielu księży Polaków, wysłany został na studya uniwersyteckie do Lwowa, gdzie też ukończył

prawa. Poznawszy doskonale język, literaturę i dzieje polskie, od wczesnych lat począł przekładać z piśmiennictwa naszego na język bułgarski, oraz ogłaszać sprawozdania i rozprawy z duchowego życia Polski dawniejszej i współczesnej. Czasopisma bułgarskie z lat 80-ych i 90-ych zawierają wiele prac jego, dotyczących Polski. Obecnie Dr. Kesiakow jest prezydentem miasta Płowdiwa, zajęcia więc obywatelskie nie pozwalają mu tak żywo zajmować się Polską i Polakami. Braci Kesiakow jest trzech i wszyscy władają bardzo dobrze językiem polskim i w piśmiennictwie zostawiają od czasu do czasu ślady swego wychowania polskiego.

Z innych przekładów znajdujemy jeszcze w „Antologii" jeden sonet Asnyka (tł. Б. Л. ?), piosnkę Konopnickiej „Po rosie" (tł. Jasenow), erotyk Lenartowicza (tł. Wł. Bleskow) i jakiś drobiazg Gomulickiego (tl. K. Sawow). Wzystkie są wcale poprawne, gdzieniegdzie zdradzają, iż tłumaczenia dokonują autorowie często nie z oryginału, lecz — z przekładów rosyjskich. Tego stanowczo należałoby unikać, jeśli się niechce utworów oryginalnych obdzierać w przekładzie z wszelkiego ich piękna rodzimego, siłą rzeczy zatracającego się w znacznej części już w pierwszem tłumaczeniu.

Nadto życzylibyśmy sobie i doboru lepszego. Obok Mickiewicza stanowczo powinno się było coś znaleźć ze Słowackiego i Krasińskiego, zwłaszcza w ub. roku, bezpośrednio po głośnym obchodzie pierwszego, a w przededniu jubileuszu autora „Irydiona". Z współczesnych zaś, obok Asnyka i Konopnickiej, koniecznie należało umieścić bodaj po jednym wierszu Wyspiańskiego, Kasprowicza, Staffa i Tetmajera, tembardziej, że utwory ich nie są już zupełnie obce czytelnikom bułgarskim.

Rzucając tych kilka krytycznych uwag, nie chcemy bynajmniej odmawiać wartości „Słowiańskiej Antologii" p. Czilingirowa. W każdym razie, jako pierwsza tego rodzaju próba w Bułgaryi, zasługuje na uznanie. Słowa nasze niech posłużą, jako wskazówka na przyszłość i zachęta do żywszego zajęcia pobratymów naszych polskiem piśmiennictwem, które dzisiaj bezwarunkowo między słowiańskiemi najwyżej stoi (nie wyjmując Rosyi), a którem siędziś w Bułgaryi zajmują najwięcej... socyaliści warneńscy, wydając utwory polskie, w bardzo lichych przekładach najczęściej, w taniej swej biblioteczce dla ludu. *Tad. St. Gr.*

„ВАРДАР": Календар за просту годину 1911. (Год. VI) Издање „Кола српских Сестара". Београд. 1910. (**Vardar**: Kalendar za prostu godinu 1911. God. VI. Izdanie „Kola sprskih sestara". Belgrad 1910, str. 148). Drukowane w 20.000 egz..

To ten osławiony Vardar, którego egzemplarze, ilustracye i mapy leżały, jako „corpus delicti" przed 45 Serbami w Zagrzebiu podczas głośnej rozprawy o „zdradę stanu". Ktoby myślał, że niewinne wydawnictwo „Sióstr serbskich", które obok druku kalendarza, zajmują się i tanią kuchnią dla młodzieży, wyrobem kilimów pirockich, dostawą mleka dla niemowląt, haftami ornatów etc. etc. — ktoby myślał, że ich „kalendarz" zdoła wywołać tyle wrzawy w sąsiedniej monarchii i najwyższe sądy austryacko-węgierskie zmusić, by go czytały!

Faktycznie „Vardar“, wydawnictwo kobiet serbskich, oddanych oświecie i humanitarnym celom w kraju, stanowił jeden z najważniejszych dowodów „zdrady stanu“ tych, co go w Austryi czytali. Dziś jeszcze, zabroniony i ścigany w monarchii, sprowadza na czytelników austro-węgierskich, gdy się władze o nim dowiedzą, bardzo przykre następstwa.

I dlaczego? Oto dlatego, iż Vardary śmią twierdzić, że ziemie serbskie nie kończą się na granicach „kraljeviny“, że Serbów wielkie osady żyją na całem południu monarchii austro-węgierskiej, aż do Adryatyku, że przeważa ich liczba w Bośni i Hercegowinie, że praw swych domagać się winni i na Węgrzech i w Austryi wszelkiemi siłami, że lud to tensam, co żyje i w Królestwie, więc łączyć się z nim winien w wspólnej narodowej pracy i żywić te same ideały.

To rzeczywiście bardzo niebezpieczne dla całości Austro-Węgier! — bo uświadamia lud ciemny, który naprzemian szedł na łup to intryg niemieckich, to bezwzględnej madiaryzacyi, — bo budzi poczucie jedności narodowej wśród mnóstwa rozbitych dzielnic.

Tymczasem w kraju i za jego granicami Vardar pełni bardzo ważne zadanie narodowe i społeczne.

W przystępnych, żywo i barwnie pisanych artykułach, tchnących szczerem uczuciem patyotycznem, poucza szerokie warstwy narodu o wszystkiem, co dotyczy doli jego i niedoli, przeszłości i przyszłości, a zwłaszcza obecnego położenia. Nic więc dziwnego, że kalendarz ten, jak u nas kalendarze T. S. L. lub Wojnara, trafiły odrazu do serca ludu, a pełnią tam bodaj czy nie ważniejszą rolę od naszych, z powodu braku jeszcze wśród Serbów większej ilości środków i sił oświatowych.

Towarzystwa „Serbskich Sióstr“ nie udało się złamać atakami, jakich doznało ze strony sędziów zagrzebskiego procesu. Przeciwnie! — Odtąd Vardar sławnym się stał i popularnym. Przez proces dowiedzieli się o nim i ci, co go nie znali; kupować go poczęli i ci, co oń nie dbali. I droższym się on stał stokrotnie, odkąd nieprzyjaciel uderzać weń począł. Rezultat zatem — jak zwykle w takiej metodzie walki, — wprost odwrotny. Powodzenie swe w znacznej części Vardar zawdzięcza właśnie uciskowi.

Toteż nic dziwnego, że redakcya i w tym roku pospieszyła z wydaniem kalendarza i to w zwiększonym, bo aż 20.000 egz. nakładzie. Pokaźną książkę wypełniają bardzo dobrane i dobre artykuły: o ziemiach serbskich, o stuletniej rocznicy jednego z „ojców“ odrodzenia kulturalnego Serbii, Dositeja Obradovića, o bojownikach za wolność, jak Cavour, Garibaldi i i., o serbskiej armii, o położeniu w Bośni i Hercegowinie po aneksyi, o Serbach w Austro-Węgrzech, o podróży króla Piotra na górę Athos, o zdrojowiskach serbskich, o sokolstwie i o „związku bałkańskim“. Nadto książka ozdobiona bardzo licznemi i dobremi ilustracyami, które doskonałą są pomocą dla mało oświeconego czytelnika.

Na jedną tylko bardzo ważną „pomyłkę, czy niedopatrzenie“ zwrócilibyśmy uwagę. Jeśli się już mówi o wszystkich ziemiach serbo-chorwackich wogóle, i szczegółowo o każdej, to sprawiedliwość i uczciwość nakazuje mówić o nich, jako rzeczywiście o ziemiach serbo-chorwackich, a nie jedynie o serbskich, jak się rzecz ma z artykułem wstępnym w tegorocznym Vardarze.

Jeśli się obecnie mówi, pisze i działa w kierunku jedności nieszczęśnie rozerwanego narodu, jedności obu części jego: Serbów i Chorwatów; jeśli się widziało podczas całego procesu zagrzebskiego tyle dobrej woli, poświęcenia i braterstwa ze strony chorwackiej, jeśli się przyjęło wyciągniętą dłoń bratnią w uścisku, i na wszystkich kongresach i zjazdach oficyalnie się i demonstracyjnie to braterstwo rozgłasza — to obowiązkiem jest uczciwości i sprawiedliwości w dalszym ciągu i konsekwencye z tego wyciągnąć i przy uświadamianiu jednej części społeczeństwa i to najniższej, prawdę bezstronnie przedstawiać.

Nie będziemy się spierali po donkichotowsku z „Siostrami serbskiemi“, czy Dalmacya lub Bośna jest chorwacką czy serbską, bo to tyle, co walczyć z wiatrakami! Ze stanowiska idei narodowej jedności serbochorwackiej wszystkie ziemie serbskie są i chorwackie, a wszystkie chorwackie są i serbskie. Różnicy niema żadnej, bo jeden to i tensam naród a różnica w obrządku tkwić może bez szkody dla narodowej pracy, póki polityczne wypadki sprawy ostatecznie nie rozstrzygną.

Toteż Vardar; jeśli stoi przy sztandarze tej „jedności“, wielki popełnił błąd taktyczny, pisząc tak jednostronnie o „ziemiach serbskich“. Nie chodzi tu o Nastićów i nowe procesy o zdradę stanu, bo tym, co je wywołują, tyleż zależy na Chorwatach, jak i na Serbach, ale o to, by z idei, któremi się chce karmić naród niedolą gnębiony, nie robić wiatraków, ni patryotycznych chorągiewek. Vardar stanowczo winien swój błąd poprawić, jeśli chce udowodnić, że zaszła „pomyłka“.

T. St. Gr.

KRONIKA.

Towarzystwo Przyjaciół Słowian południowych powstaje w Krakowie z inicyatywy p. Stanisława Jasińskiego.

Idea słowiańska szerzy się widocznie w społeczeństwie naszem, skoro przybywa jej nowych, pożądanych współpracowników. Szczupłe zrazu grono czynnych słowianofilów, którzy założyli krakowski Klub Słowiański, ma już swe odgałęzienia, zabierające się również do pracy.

Inauguracyjne zebranie członków, zapisujących się do nowego stowarzyszenia, odbywa się dnia 30 kwietnia, właśnie, kiedy nasz zeszyt majowy będzie już na poczcie. Przebieg obrad i uchwały nie mogą tedy być objęte niniejszym zeszytem. Czytelnikom szczegóły znane są jednak z pism codziennych, których miesięcznik — z natury rzeczy — wyręczać nie może i nie ma zamiaru.

Kiedy oddajemy ten arkusz na maszynę drukarską. dochodzi nas miła wieść, że na zebranie inauguracyjne Towarzystwa wybiera się grono miłych gości z pośród Słowieńców i Chorwatów. Dobro došli! Oby stosunki pomiędzy Krakowem, a Lublaną i Zagrzebiem stały się jak najściślejszemi!

(mg). Slovenec powtórzył odezwę polskiego „Towarzystwa Przyjaciół Słowian południowych“, wzywającą do udziału w powitaniu gości w Krakowie. Odezwę opatrzył dziennik słowieński własnem wezwaniem: Kraków nas wzywa!

„Krakov — powtórzymy wedle oryginału — slovanski Rim, bajeslovna stolica prvih poljskih knezov, središče mogočne nekdaj poljske države in srce poljskega naroda, nas kliče k sebi“. Wawel, mogiły Wandy, Krakusa i Ko-

ściuszki wyciągają ramiona ku południu, aby braci z południa powitać i uścisnąć. „Tysiącletnie dzieje słowiańskie otwarły się przed nami, obejmie nas na nowo kipiące życie wielkiego narodu polskiego. Zapowiada się nam dzień piękny i niezapomnialny".

(w) **25-tą rocznicę śmierci W. Dunin-Marcinkiewicza** uczciła *Naša Niwa*. Nie tu miejsce, aby określić sylwetkę poety, znanego w naszej literaturze autora „Sielanki", do której Moniuszko ułożył muzykę, „Dudarza białoruskiego", kilku komedyj obyczajowych, charakterystycznych użyciem w nich języka białoruskiego, oraz licznych zbiorków poezyi lirycznych. Dunin-Marcinkiewicz był całem sercem oddany ludowi białoruskiemu, słusznie więc Białoruś poczytuje go za jednego z najpierwszych zwiastunów swego odrodzenia. Przeto tem ciekawszą staje się dla nas postać poety.

W r. 1855 zjawia się pierwsza „białoruska książka", a jest nią opowieść p. t. „Hapon", Dunina Marcinkiewicza. Już przed nim wprawdzie Mańkowski, Weryha-Darewski, Barszczewski, pisali utwory białoruskie, atoli nie były one drukowane, a tylko w rękopisach przechodziły z rąk do rąk — i w ten sposób popularyzowały się. Po ukazaniu się „Hapona", w tymże roku wychodzą „Wieczernice i Obłąkany", zbiór poezyi, gdzie „Wieczernice" pisane są w języku białoruskim, „Obłąkany" zaś po polsku. Pominąwszy już fakt, że utwory Marcinkiewicza były jakby pierwszym bodźcem do zbudzenia się literatury białoruskiej, podkreślić trzeba przedewszystkiem ich znaczenie historyczne dla młodego ruchu białoruskiego. Po raz pierwszy zadano sobie pytanie, czy język białoruski stać się może językiem literackim, czy mógłby mieć przed sobą przyszłość żywotną. Zdania pod tym względem były różne. Twierdzono, że nie posiada on potrzebnego dla literatury bogactwa leksykalnego, kultury, że jest pospolitym dyalektem, gwarą ludową. Nikt jednak nie mógł zaprzeczyć słowom Marcinkiewicza, który w „Dudarzu" mówi, że gdy lud „zobaczy książkę napisaną w jego własnym, dobrze dlań zrozumiałym języku — chętnie ją czyta i nabiera ochoty do uczenia się i dziatki swe zachęca do nauki".

Dla Białorusi owe słowa Marcinkiewicza są jakby proroczem przewidywaniem przyszłości. Co prawda, sam niedługo mógł kultywować mowę białoruską. W roku 1859 rząd rosyjski zabrania drukować książki w języku białoruskim i przygotowany już przez Marcinkiewicza przekład pierwszej księgi „Pana Tadeusza" zaraz po wyjściu z druku zostaje skonfiskowany. Nie doczekał się już poeta lepszych czasów, mimo to jednak nie przestawał pisać i tworzyć w języku białoruskim, który pod jego piórem udoskonalił się niepomiernie, za co mu słusznie należy się miano „Białoruskiego Dudarza".

Dopiero w ostatnich latach ukazały i ukazują się utwory Marcinkiewicza, bo też zaledwie od kilku lat dopiero datuje się młody, odrodzeniowy ruch białoruski, którego wyrazicielem jest *Naša Niwa*. Białoruś święci pamięć wielkiego poety, który zwiastował jej odrodzenie, w którego słowach znajduje wypowiedzenie swych pragnień i nadzieję lepszej przyszłości.

Czeska kronika.

(ek). **Liczba słuchaczy w uniwersytecie** czeskim w zimowem półroczu 1910 na 1911 doszła do 4432, z tego 3414 zwyczajnych, 878 nadzwyczajnych i 140 hospitantów. Na wydziale teologicznym było 119, prawniczym 1958 (1638 zwycz., 301 nadzwycz. i 18 hosp.), lekarskim 801 (781, 20), filozoficznym 1554 (883, 434, 122 i 115 farmaceutów). Słuchaczek wszystkich było 363, z tych na wydziale lekarskim 29 zwycz., i 1 nadzwyczajna, na filozoficznym 53 zwycz., 163 nadzwycz., 1 farmaceutka, 97 hospitantek, na prawniczym 18 hospitantek. Cudzoziemców było 52.

(ek). **Akademii rolniczej** Czesi dotychczas jeszcze nie mają. Istnieje tylko studyum rolnicze na praskiej technice, które jednakże nie bardzo dobrze uposażone, nie zaspakaja wszystkich potrzeb i wymagań. Z te-

go połączenia agronomii z techniką odnosi tylko korzyść skarb państwa wcale nie skąpy dla szkół niemieckich kosztem naturalnie słowiańskim. Słuchaczy na czeskiej technice jest niewiele mniej, jak na wiedeńskiej, która rocznie dostaje od rządu 1,284.703 kor., gdy tymczasem o b i e praskie techniki 1,493.387 kor. Pokrzywdzenie Czechów jest tem większe, że obecna szkoła techniczna zastępuje im dwie akademie: techniczną i rolniczą. Na samą zaś wyższą szkołę rolniczą w Wiedniu daje rząd rocznie 610.066 kor. Starania więc Czechów o samodzielną akademię rolniczą są najzupełniej usprawiedliwione.

(ek). **W Czechach południowych,** obejmujących 16 powiatów, których terytoryum sięga na północnym wschodzie po Počatky, Jindř. Hradec, na północy po Benešów, Sedlčany, Březnice, a na północny zachód po Horaždovice, widoczny jest zastój w rozwoju tak na polu oświatowem, jak społecznem i gospodarskiem. Okręgi te odznaczają się prawie jednakową gospodarską, społeczną i kulturalną strukturą. Gęstość zaludnienia ich jest mniejsza od przeciętnego w Czechach. Najwięcej zaludniony powiat czesko-budziejowicki liczy 106 osób na 1 km², gdy tymczasem przeciętna gęstość zaludnienia w Czechach wynosi 122. Są nawet takie powiaty południowo-czeskie, które mają gęstość 56 i 68. Pomimo rzadkiego zaludnienia ludność tu nie wzrasta, owszem nawet zmniejsza się. Bezpośrednią tego przyczyną jest liczna emigracya, która zabiera pełną trzecią część ludności. Z pośród 1,415.768 przynależnych do tych 16 powiatów, 579.046 żyje poza swymi powiatami, a z tej liczby 254.406 poza Czechami. Są nawet niektóre, naprzykład selčanski i wltawotyński, z których więcej wyemigrowało, niż w domu zostało.

Temu rzadkiemu zaludnieniu odpowiada także zakres zajęć ludności. Wedle statystyki z r. 1900 gospodarstwem i leśnictwem zajmowało się w Czechach 35·69% całego zaludnienia, handlem i przemysłem 52.61%, służbą publiczną i wolnemi zawodami 11.70%. Tu zaś w tych 16 południowych powiatach stosunek zajęć jest prawie odwrotny: rolnictwem zajmowało się 508.617 osób, handlem zaś i przemysłem tylko 315.934. Najistotniejszą przyczyną tego złego stanu rzeczy jest zbyt wielka słabość i rozdrobnienie własności ziemskiej. Albowiem na 514 wielkich posiadłości przypada 493.431 ha, a na 105.952 majątków włościańskich przypada zaledwie 197.169 ha.

Słowacka kronika.

(ek) **Szkolnictwo słowackie,** niedogodne dla madiaryzacyjnej szkolnej polityki, ciągłym ulega zmianom. Madiarzy pod osłoną rozmaitych względów zamykają po wielu wsiach szkoły gminne z językiem słowackim, a na ich miejscu otwierają rządowe madiarskie. Na każdym kroku dbają o swe szowinistyczne cele, a bynajmniej nie starają się o zwalczanie analfabetyzmu. Tak naprzykład w turczańskim ewangelickim senioracie w ciągu ostatnich 10 lat w 14 wsiach zamknięto szkółki kościelne słowackie, na ich miejsce otworzono w 9 wsiach szkoły rządowe, a w pięciu nauka wcale się nie odbywa już 2—4 lata. Ze strony rządu jest to gwałtem, albowiem w myśl § 32. synodalnych ustaw, szkoły ewangelickie można zamknąć tylko za pozwoleniem wyższej zwierzchności kościelnej. Tak samo nowa ustawa o bezpłatnem nauczaniu jest zwrócona przeciw niemadiarskim szkołom. Słowaccy nauczyciele wiejscy utrzymywali się dotąd prawie wyłącznie z opłat uczniów. Teraz zaś nie wolno im pobierać pieniędzy od ojców, lecz dostawać będą pensyę. Na ten cel przyznał rząd wsiom stałe dodatki, ale jak? Naprzykład w Turčanskiem niektórym wsiom zupełnie odmówił, innym przyznał zamiast 400 K tylko 25 K., albo 204 K zamiast 500 K. Zarządy więc kościelne muszą same dopłacać do pensyi nauczycielskiej, a jeśli nie będą mogły, będą zmuszone szkołę zamknąć, albo zgodzić się na rządowo-madiarską.

(ek). **Dola słowackiego nauczyciela.** Jeszcze pod koniec przeszłego roku podały pisma słowackie wiadomość, że ewangelicki nauczyciel Chorwat w Brezowej w Nitrańskiem został zasuspendowany po trzydziestoletniej blisko służbie. Solą bowiem

w oku władzy było to, że dzieci posyłał do szkół morawskich. W akcie oskarżenia zarzucono mu następujące przestępstwa:

Poza godzinami, poświęconemi madiarszczyznie, czytywał dzieciom słowackie powiastki i pożyczał im do domu słowackie książki. W czasie majówki zbierał od rodziców składki na bibliotekę szkolną, wieczorem zaś po majówce, w przemowie do rodziców i dzieci, mówił o postępach szkolnictwa w sąsiednich ziemiach, o szkołach gospodarskich, handlowych i przemysłowych z językiem wykładowym ojczystym, przyczem podkreślał, że Słowakom brak takich szkół, a wskutek tego wszelki postęp narodu jest utrudniony. Zarzucono mu także, że dla dwu biednych a zdolnych chłopców wystarał się o zapomogi i wysłał ich do średnich szkół czeskich.

Za zbieranie składek bez pozwolenia władzy skazano Chorwata na pięć dni więzienia i 10 koron kary, za inne zaś „przestępstwa" został zasuspendowany. To postępowanie rządu z Chorwatem jest jaskrawem pogwałceniem autonomii ewangelickiego kościoła w Węgrzech, zagwarantowanej pokojem wiedeńskim (1606 r.), linieckim (1645) i ustawą z r. 1791. Autonomia ta dawała w swych szkołach jedyny przytułek rugowanemu zewsząd językowi słowackiemu. Obecnie i tej placówki pozbawiają Słowaków i dziś też niema właściwie ani jednej czysto słowackiej szkoły ludowej.

(ek). **Lex Apponyi.** Jakim wyszukanym sposobem najnowsze apponyowskie ustawy pozbawiają kościelną szkółkę praw, nadanych jej niegdyś, o tem przekonamy się, zwróciwszy uwagę na kilka paragrafów tej osławionej ustawy.

Rząd udziela zapomóg szkołom, utrzymywanym przez Kościół lub gminę, ale w zamian za to odbiera im charakter narodowy.

Oto co mówi § 27: „W szkole, wspieranej przez państwo, wolno uczyć języka madiarskiego, rachunków, geografii i historyi Węgier tylko z książek, zatwierdzonych przez ministerstwo. Również tylko takich można używać książek pomocniczych, tak samo czytanek, które są „patryotycznej treści" (rozumie się w duchu madiarońskim).

§ 17. opiewa, że „każda szkoła i każdy nauczyciel obowiązany jest wszczepiać w dusze dzieci przywiązanie do madiarskiej ojczyzny i świadomość przynależności do madiarskiego narodu".

Bardzo obrotnym jest § 18. Mówi on: Rozporządzenie § 14. ustawy z 1868 r., wedle której gminy wyznaniowe w szkołach swych mogą według swej woli wybrać język wykładowy, tak należy rozumieć, że jest im wolno obrać za język wykładowy język państwowy, albo rodzimą mowę dzieci. Jeżeli jednakże choćby połowy uczniów językiem ojczystym jest madiarski, to językiem wykładowym musi być madiarski.

Taką „połowę" naturalnie bardzo łatwo można utworzyć. Do jej utworzenia będą zmuszone przyczynić się dzieci urzędników, leśniczych, lekarzy, żydów, robotników dworskich i w ogóle wszystkich, w jakikolwiek sposób zależnych od rządu.

Według tego paragrafu ustawy Apponyowskiej zdawałoby się pozornie, że nie usuwa ona słowackiego języka zupełnie ze szkoły, gdyż pozwala utrzymującym szkoły wybierać język wykładowy. Owszem, nie złem to jest, jeśli komitet kościelny składa się z uświadomionych Słowaków, takich jednakże jest tam niewielu. Choćby nawet tak było, to skoro tylko raz gmina weźmie od rządu zapomogę na szkołę, zaraz wprowadza się naukę pięciu przedmiotów po madiarsku.

Te prawa, które § 18 przyznaje pozornie mowie ojczystej, niszczy zupełnie § 19. Opiewa on: „W elementarnych szkołach z wykładowym językiem niemadiarskim, czy to przez państwo subwencyonowanych, czy też nie, tak ma się uczyć madiarskiego języka we wszystkich klasach, żeby dzieci niemadiarskie z końcem czwartego roku szkolnego umiały swe myśli po madiarsku żywem słowem i pisemnie zrozumiale wypowiedzieć".

Wobec takiego stanu rzeczy, nic dziwnego, że dzieci nawet w szkołach „z językiem wykładowym ojczystym", robią bardzo małe postępy w naukach i po czterech latach nauki nie umieją nawet choćby trochę poprawniej pisać w języku słowackim.

Turčanski sv. Martin, duchowa stolica Słowaków, jest miasteczkiem

liczącem zaledwie 2500 mieszkańców, w czem ¾ ludności słowackiej. Rada gminna jest w ręku Słowaków, ale musi urzędować na zewnątrz po madiarsku.

Tu na zjeździe z całej Słowaczyzny w r. 1861 poczyniono przygotowania do założenia „Slovenské Matice“, która w dwa lata później tu także rozpoczęła swą działalność. Już w pierwszym roku liczyła około tysiąca członków. W krótkim czasie zebrano wśród ubogiego społeczeństwa słowackiego kapitał zakładowy 10.000 złr., a ofiarność nie słabła, fundusze rosły i „Matice“ mogła rozwinąć działalność godną zaiste podziwu. Wydawała książki słowackie, treści belletrystycznej i naukowej, ogłaszała konkursy naukowe i artystyczne, a utrzymywała swym kosztem trzy gimnazya słowackie. Były to najlepsze czasy Słowaczyzny. Zakładano stowarzyszenia oświatowe, ekonomiczne, rolnicze, szkoły ludowe i uzupełniające „niedzielne“ itp.

W r. 1874 zamknął rząd gimnazyum słowackie w Turč. sv. Martinie: w r. 1875 zamknął „Maticę“, skonfiskował fundusze, poczem nastąpiło rozwiązywanie całego szeregu stowarzyszeń.

Poczęto się dorabiać na nowo o ile udawało się uniknąć repressaliów rządowych, co wymagało zawsze nadzwyczajnej przezorności.

Przechadzka po Turčanskim sv. Martinie (krótko „Martinie“) wystarczała dawniej, żeby sobie zdać sprawę ze stanu prac narodowych słowackich, bo wszystko niemal tam się mieściło.

Dziś tak już nie jest („Martin“ pozostał raczej stolicą „starych“), ale w każdym razie przechadzka taka jest bardzo pouczająca.

A więc idziemy od dworca kolejowego na ulicę Główną (Hlavni ulica) Po prawej stronie ulicy mieszkanie poety Svetozara Hurbana Vajanskiego. Dalej siedziba stowarzyszenia „Knihtlačiarsko-účastinarský Spolok“ (spółka wydawnicza), drukarnia słowacka, redakcye pism *Narodnie Noviny* i *Slovenske Pohlady*. Niedaleko bank „Tatra“.

Tak dojdziemy do ewangielickiej szkoły. Opodal kościoła stary, ciekawy dom, a w nim mieszkanie Pawła Sochaňa, fotografa, malarza, etnografa i literata. O kilka kroków dalej mieszka ks. Andrzej Kmet, archeolog i botanik.

W tej też połaci stoi dawny gmach „Macierzy“ i gimnazyum słowackiego — obecnie urząd sądowy.

Idąc nieco dalej widzi się na większej budowli napis „Dom“. Oryginalne pouczenie, że dom jest domem? Bo to „Dom narodowy“ słowacki, ale władza nie pozwoliła umieścić w napisie wyrazu „narodowy“, został więc napis kadłubowy „Dom“. Dziwaczny napis zmusza każdego przybysza pytać o wyjaśnienie tej oryginalności — i tak głupota biurokracyi madiarskiej nie bardzo się przysłużyła opinii o rządach węgierskich. Napis obcięty stał się tem wymowniejszym.

W „Domie“ jest kasyno, restauracya, sala ze scenką.

Obok gmach stowarzyszenia „Slovensky muzejni Spolok“, ale na gmachu znowu krótki tylko napis „Museum“, bo wyraz „slovensky“ jest niecenzuralny.

W sąsiedztwie „Domu“ jest też księgarnia słowacka J. Gašparika.

Kościoł katolicki stoi w rynku.

Cmentarz wspólny, chrześcijański dla katolików i ewangielików. Na Słowaczyźnie nie miano we zwyczaju ogradzania cmentarzy płotem lub murem, lecz otaczano je rowami. W Martinie nowy cmentarz jest już okolony murem, ale stary ma mur tylko od strony miasta, ze strony pól zamiejskich otoczony po staremu rowem.

Nagrobki niemal same słowackie: gdzieniegdzie napis madiarski, francuski, lub... cytat jaki rosyjski. Pełno tu imion należących do historyi Słowaczyzny XIX stulecia. Oto pomnik wzniesiony od „wdzięcznych Słowaków“ Mikołajowi St. Ferienčikowi (1825–1881) — a tam na grobie Miloša Štefanoviča (1854—1904) napis: „Obrancovi svojho slovenskeho naroda, starostlivemu otcovi rodiny věčnaja pamjet“; tu grób Jana Kadavego (1810–1883), tam spoczywa Jan Francisci (1822—1905); dalej Dr. Michal Mudroň (1835–1887), z napisem na nagrobku:

„Narod krivdou zbitý
len vtedy ožije,

ked ho štitom pravdy
syn vlastný přikryje".

Pośród trzech pokoleń swych parafian spoczywa tu senior Józef Horváth (1819—1906), który przez lat 60 był pastorem „svatomartinskim".

Zdumieni stajemy nad nagrobkiem, którego napis: „Něch je žehnaná pamät jej prikladneho a osožneho života" — tyczy się „wdowy Alojzyi z rodziny barona i generała Adama Andrassego" (1816—1898). Słowacki napis nad trumną Andrassówny!

W kaplicy cmentarnej tablica pamiątkowa z napisem: Karol Kuzmány, Doktor theologie, Superintendent cirkvi ev. A. V. okolie Prešporského, hl. farár ev. cirkve w Turčanském sv. Martině, prvý podpredsednik Matice Slovenskej, sv.-martinský čestný měštan, rytier cis. ruských řádov sv. Anny II. triedy s imp. korunou a sv. Stanislava III. triedy, majitel kr. pruskej medailie za umenie a vědu, * 16. Nov. 1806, † 14. Aug. 1866".

Turč. sv. Martin posiada dom miejski, dom komitatowy (stoličny), szpital komitatowy, szkołę zawodową; ale to wszystko przybytki madiarszczyzny, nie wyłączając i szpitala. Jest też „Grand-Hôtel".

Są dwie fabryki. Jedna, mebli giętych, znajduje się w ręku słowackiem i ma eksport do Meksyku. Druga, cellulozy, założona niegdyś z pomocą kapitału czeskiego, nie miała szczęścia i przeszła po krótkim czasie w ręce żydowsko-madiarskie.

Jest też w sv. Martinie synagoga i cmentarz żydowski.

O przyczynach „rozkolu", tj. odczepienia się Słowaków od języka piśmiennego czeskiego, a wytworzenia literatury we własnem narzeczu, czytaliśmy słuszne uwagi w *Novym Věku* (Nr. 21) w artykule „O literárním rozkolu českoslovanském" — podpisanym znakiem „—ašek": Nie stało się to przez żaden z góry powzięty zamiar i plan, lecz wypłynęło konsekwentnie z przyczyn od nikogo niezależnych, jako nieuchronne następstwo pewnego stanu rzeczy. Było to bowiem tylko fikcyą, jakoby język czeski był Słowakom dostępnym łatwo i ogólnie. Chcąc lud oświecić i podnieść, trzeba się było zwrócić do niego w jego własnej mowie. Sami literaci słowaccy nie umieli pisać poprawnie po czesku. Gdzież się mieli nauczyć tego? Praskie *Květy* miały pełne ręce roboty z oczyszczaniem rękopisów swych współpracowników słowackich, a powstawały przytem nieraz zabawne nieporozumienia. Tak n. p. w pewnym wierszu Štura wyraz „starina" (starodawność) „poprawiono" na czeskie „stařena" (staruszka, babcia).

Działały też wpływy ówczesnych teoryj, przyjętych powszechnie w nauce. Za Herderem uważano tzw. poezyę ludową za ideał i wzór poezyi, z czego wypływało, że język ludowy jest najwierniejszym wyrazem indywidualności narodowej. Kollar w przedmowie do zbioru Šafařika: „Pisně světské lidu slovenského v Uhřich", wychwalając piękno i łagodność słowaczyzny, wyraził zdanie, że stoi ona logicznie i estetycznie wyżej od czeszczyzny, której wytykał brak spiewności i zniemczenie. Šafařik sam w „Geschichte der slavischen Sprache" określił słowaczyznę, jako samodzielny typ językowy, uprawniony do stanowiska języka literackiego. Zastosowanie zaś filozofii Hegla o rozwoju kultury powszecznej, w której Słowianom danem będzie prowadzić na szczyty, (a w tem Słowakom przypadnie „ostatnie słowo") — musiało stać się bodźcem do wytworzenia piśmiennego języka słowackiego.

W ten sposób stało się, że już po r. 1840 zaczęto drukować po słowacku, a wydanie „Almanachu Nitry" stało się hasłem do literackiej odrębności.

Słowieńska kronika.

† Ivan Grohar, najwybitniejszy malarz słowieński, zmarł 19 b. m. w szpitalu lublańskim na suchoty. Urodzony w Soricy na Gorenjskiem w r. 1867, studyował w Gradcu Styryjskim, w Wiedniu i Monachium. Był przedewszystkiem pejzażystą, zapatrzonym z uwielbieniem w piękno kraińskich widoków. Jako jeden z założycieli klubu artystów słowieńskich „Sawa", zasłużył się wielce około podniesienia poziomu arty-

stycznego wśród Słowieńców. Jego zabiegami dochodziły też do skutku słowieńskie wystawy obrazów w Wiedniu, przedstawiając szerszemu światu po raz pierwszy nową indywidualność w sztuce słowieńską. Grohar wystawiał też z powodzeniem swe dzieła w Berlinie, w Paryżu i Londynie. Chciał jednak mieszkać w kraju, żeby dać dobry przykład artystom słowieńskim, którzy gośćmi tylko bywają we własnym kraju, nie chcąc się narażać na nędzę. Grohar, pełen do końca młodzieńczego zapału, lekceważył warunki materyalne ; sławę miał, ale sprzedawał mało i uległ w końcu niedostatkowi, na tle którego rozwinęła się zabójcza choroba. Ostatnie tygodnie życia osładzał mu kolega rzeźbiarz, J a k o p i č. Na pogrzebie była delegacya „Macierzy Słowieńskiej“, ale publiczności bardzo niewiele. — Grohar był przed trzema laty w Krakowie, biorąc udział w urządzanej tu wówczas wystawie południowo-słowiańskiej.

(*mg*) **Kurs społeczny** urządziła w Celowcu „Slovenska krščansko-socialna Zveza za Koroško“, już szósty z rzędu, w dniach 20—22 marca. Treść wykładów stanowiły: zagadnienia społeczne i spółkowe, wykształcenie polityczne, czasopisma, organizacye gospodarcze, zasadnicze podstawy ekonomicznego życia. Uczestników było 50, sama młodzież dorastająca. Wykładali*:* dr. L e n a r d, redaktor S m o d e j, ks. O g r i s, koncypient dr. J e s e n k o, rewizor kasowy S c h ö f f.

(mg) **Ruch organizacyjny wśród Słowieńców.** Słowieńska „Zadružna zveza“, która w r. 1908 miała tylko 231 członków organizacyi, liczyła w r. 1910 już 300 członków (w tem 162 zakładów kredytowych, gospodarczych 92..). We wszystkich organizacyach „Zvezy“ było 57.000 członków czyli d z i e s i ą t a c z ę ś ć l u d n o ś c i Krainy. Obrot ogólny przedstawia się liczbą 180,000.000 K.

A jednak Wydział krajowy kraiński dopiero na rok 1911 dla celów „zadružnych“ przeznaczył kredyt 10.000 K, gdy w innych krajach już dawno spółki i organizacye doznają pomocy, n. p. w Gorycy „Zveza goriških gospodarskih zadrug“ otrzymała 6.000 K. zapomogi państwowej, 5.000 K. subwencyi krajowej, choć ma 40 ledwie ogniw, Związek w Gradcu otrzymał 400.000 K. pożyczki 3-procentowej, w Dalmacyi każda „Raiffeisenka“ dostawała bezprocentowe pożyczki najmniej 600 K., a kiedy powstał dalmacki „Zadružni savez“, zaraz mu Wydział krajowy przyznał 200.000 K. kredytu i 10.000 K. rocznej subwencyi, a „Savez“ otrzymał też lata następnego po 35.000 K. od rządu i od kraju. Savez dalmacki obejmował w roku pierwszym 116, w drugim 151 organizacyj.

Słowieńcy weneccy (raczej północno włoscy) również dbają o organizacye gospodarcze, jak widno z artykułu „N a š i b r a t j e v k r a l j e s t v u“ (*Slovenec* Nr. 59). Towarzystwo spożywcze w St. Petru koło Nadižu wykazuje w pierwszym roku istnienia swego (1910) czystego dochodu 1300 K., drugie w Marsinie, świeże, zgromadziło 86 członków, Kasa zaliczkowa i oszczędnościowa w St Lenarcie i spółka mleczarska w Tarpeču również się rozwijają szczęśliwie i zachęciły gminy Grmah i Drenkiję do organizacyi. Organizatorowie rozesłali odezwę słowieńską, gdyż ludność nie umie i nie rozumie języka włoskiego Z tego powodu też kupcy i finansiści oskarżają organizatorów. że chcą „ludność odciągnąć od języka Dantego, oderwać od tysiącletniej kultury latyńskiej i podkopują w obywatelach patryotyzm włoski“.

(ek). **Słowieńscy studenci.** Zaprowadzone w r. 1907 czteroprzymiotnikowe prawo wyborcze do Rady państwa posunęło proces demokratyzacyi, a na czoło wysunęło realne programy społeczne, a więc chrześcijańsko-społeczne i socyalistyczne. W związku z tem przeobrażeniem politycznem i wśród młodzieży zaczynają się w r. 1907 budzić prądy społeczny o charakterze katolicko-narodowym i socyalistycznym.

W Wiedniu powstaje „Klub socialno-demokratičnih akademikov“. Dawniejsze jednakże związki akademickie staroliberalne: „Triglav“ w Gracu, „Sawa“ w Wiedniu i „Iliria“ w Pradze nie upadają, a także program narodowo-radykalny, odznaczający się wolnomyślnością w duchu Masaryka, zyskuje sobie coraz to nowych wyznawców. Dzisiaj większość słowień-

skiej młodzieży wyznaje hasła narodowo-radykalne.

Chorwacka kronika.

(w) **Ludność rodzima w Slawonii** zmniejsza się ustawicznie, a dzieje się to w najżyźniejszej i najbogatszej ziemi chorwackiej. Tam jeden rolnik bardzo często posiada 50 - 60 hektarów ziemi urodzajnej, po 100—300 sztuk inwentarza wszelkiego gatunku; niema więc biedy, lecz przeciwnie, dostatek aż rzuca się w oczy. A tymczasem od 10 lat żywioły napływowe, Niemcy i Madiarzy, zdobywają coraz więcej placówek. Już całe sioła zalane są obcym żywiołem.

Opinia publiczna chorwacka jest przerażona, że zbliża się katastrofa, że ludu tego nie stanie, że za 20—30 lat w Slawonii może już nie być ani jednej żupy z większością chorwacką, a wreszcie kraj zamieni się w zbiór gmin węgiersko - niemieckich. Głosy, odzywające się obecnie w prasie chorwackiej, sądzą, że nie czas już rozprawiać o nadużywaniu alkoholu i o niechęci kobiet sławońskich do obowiązków macierzyństwa; nawołują do radykalnego zaradzenia złemu. Jak? Oto wszelkie instytucye kulturalne i społeczne winny w tym kierunku użyć wszelkich usiłowań. Sejm chorwacki, podjąwszy akcyę kierowniczą, mógłby zorganizować po większych miastach w Slawonii odpowiednie instytucye, gdzieby zajęto się kwestyą zamierania ludności i przedsięwzięto jakieś kroki. Niepodobna, aby nie znaleziono na to remedyum, tembardziej, że nie trudno będzie dopatrzeć się przyczyn tego groźnego symptomatu...

Ależ jakie remedyum? Jeżeli grasuje tam opilstwo i liczba urodzin jest mała — objaw cały wytłumaczony jest najzupełniej i niema najmniejszej potrzeby szukać innych przyczyn! A na takie wady po wsiach może wynaleść „remedyum“ tylko kler parafialny. Jeżeli się nie podniesie poziom moralny wśród ludności, sprawa przepadła. Sejm i wszelkie „instytucye kulturalne“ po miastach — nie mają tu nic do zrobienia.

(w) **Rački**, znany malarz chorwacki, ilustrował niedawno jubileuszowe wydawnictwo M a ž u r a n i ć'a: „S m r t S m a i l a g e Č e n g i j i ć a“. Artysta znalazł tu bogactwo motywów, aby rozwinąć skrzydła swego talentu. Rački bynajmniej nie odtwarzał dosłownie i niewolniczo treści w kolorach i liniach, lecz przetapiał motyw utkany ze słów na farby i kształty. Stąd oryginalność jego pomysłów, a właściwie impresyi. To samo widzimy w innym cyklu: „B o s k a k o m e d y a“ D a n t e g o. Tu malarz ilustrując miał może więcej trudności; tragizm scen odtworzony po malarsku nie może wyjść poza pewne granice wrażenia realnego, w przeciwnym razie obraz staje się nielogiczny, a przedewszystkiem pozbawiony istotnej treści malarskiej. R a č k i uniknął jednak z wielką subtelnością scen, któreby swą sztuką mógł tylko interpretować. Toteż w jego obrazach obok zrozumienia przewodnich motywów, mamy artystycznie pomyślane i oryginalnie ujęte czy to pejzaże, czy też postacie ilustrowanych dzieł D a n t e g o i M a ž u r a n i ć'a. Krytyka chorwacka stawia R a č k i e g o w rzędzie najlepszych współczesnych malarzy południowo słowiańskich.

(w) **Ivan Meštrović** należy do tych rzeźbiarzy, którzy wykuwają życie z kamienia; ale ta do pewnego stopnia techniczna zdolność nie wyczerpuje jego artyzmu. Istotną właściwość jego dzieł stanowi poetycka i filozoficzna strona, którą ożywia swe prace. M e š t r o v i ć czerpie motywy z życia, nie ubiega się za oryginalnością, nie szuka świata fantazyi, aby znaleźć motto do swych pomysłów. Jest on nawskróś sensualistą. Zjawiska, przedmioty tryskające życiem, — to dziedzina jego twórczości. Radość, słońce, pieśń, wszystko co przemawia życiem, znajdujemy w jego kompozycyach. Toteż dzieci, młodzi chłopcy i dziewczęta, akta miłosne, z których płynie rozkosz i szczęście, znajdują wyraz w jego dziełach. Unika on wszystkiego, co rodzi się w ciemnościach zgrzytów i dysonansów, nastrojowości ponurej. Ta cecha twórczości M e š t r o v i ć'a nadaje mu wybitny charakter artysty-rzeźbiarza południowego Dla niego miłość może zrodzić się li tylko w słońcu i pieśni.

(w) **„Egyebek“** — tak nazywa się w statystyce węgierskiej stałych

i z dawna na Węgrzech zamieszkałych mieszkańców, lecz nie będących Madiarami. Samych Chorwatów tego rodzaju jest 99.100. Szczególnie godną uwagi jest kolonia, gdzie zamieszkują t. zw. „Š o k c i“ przybyli po r. 1683, po wyzwoleniu Węgier z jarzma tureckiego.

(*w*) **Na Węgrzech przebywa** 188552 Chorwatów, pozostających obywatelami Trójjedynego Królestwa. Główne osiadłości są w żupie baranjskiej w 110 osadach 16050 Chorwatów, w samogyskiej żupie w 63 siołach 11700, w zaladskiej w 140 siołach 84.700, w želježnej żupie w 144 siołach 17900, w šoprunskiej w 126 siołach 31400.

Warunki, w jakich znajduje się ludność chorwacka w osadach i siołach bardziej oddalonych od pogranicza, są przykre pod każdym względem. Kontakt z Chorwacyą jest zbyt słaby, aby powstrzymać madiaryzacyę; ośrodków zaś miejscowych, oświatowych i kulturalnych prawie niema żadnych; stąd ostatniemi czasy znaczne osłabienie poczucia odrębności i stopniowy zanik tego żywiołu, jako chorwackiego. W Medjumurju, gdzie jest około 96% Chorwatów, wskutek braku organizacyi i odpowiedniego uświadomienia, upadają przy wyborach kandyci chorwaccy.

Bułgarska kronika.

(ek). **Proces odrodzenia** bułgarskiego dokonywał się zrazu bardzo powoli i po cichu za pośrednictwem towarzystw oświatowych, czytelń, i podobnych środowisk życia społecznego, które były wówczas jedynem ogniskiem świadomości narodowej. Wybitniejsze miasta w Bułgaryi: Sofia, Plovdiv, Stara Zagora, Gabrovo i inne, i w dzisiejszej Macedonii, jak: Solun, Veles, Bitolje, miały pod koniec siedmdziesiątych lat chocby po jednem takiem ognisku narodowo-społecznem. Należała do nich przeważnie młodzież, a starszych ponad 30 lat wcale nie było. Starsza bowiem generacya najobojętniej zachowywała się wobec młodego ruchu narodowego. Trzeba bowiem to uwzględnić, że przed 30—40 laty życie pod Bałkanami było jeszcze staroświeckie, a potrzeby życiowe były bardzo skromne. Za zboże i wino wogóle nie płaciło się, a materye na odzież ludzie sami sobie tkali. Byli Bułgarzy gospodarni i pracowici, ale o poczuciu narodowem u nich nie było ani słychać. Przez wiele też prób i różnych manewrów dyplomatycznych musiał przejść młody żywioł narodowy, żeby w szerszych kręgach rozbudzić świadomość.

Praca ta o wiele cięższą była w Macedonii, niż w samej ojczyźnie, gdyż przyszło tu staczać walkę z silniejszem stronnictwem greckiem, które bardzo niechętnie spoglądało na narodowe prądy bułgarskie. Nie brak jednak było ludzi ochotnych do pracy. Nauczyciele ludowi zwołali zjazd do miejscowości Prilep już w roku 1871, kiedy na Zachodzie o podobnych rzeczach nie było jeszcze mowy. Obradowali nad niedomaganiami szkolnictwa. Młody bowiem żywioł narodowy pragnął się przynajmniej językowo wyzwolić, ale napotykał przeszkody ze sfer panujących. Greczyzna, dzierżąca hegemonię i nadal chciała panować w szkole i w cerkwi. Rząd turecki starał się pośredniczyć między obu stronami. Zwoływał wspólne narady, konferował z przedstawicielami stronnictw, wyznaczał komisye, badał i godził, lecz nadaremno, gdyż istoty tego sporu narodowego zupełnie nie mógł pojąć. Turcy uważali spor narodowy za wyznaniowy i nie mogli zrozumieć, jak ludy jednej wiary mogą się tak swarzyć. Oddali tedy sprawę do załatwienia patryarsze carogrodzkiemu, Grekowi. Ten wysłał swego zastępcę, biskupa bitolskiego, do miejscowości Prilep dla rozstrzygnięcia sporu. Na jego ceremonialne nabożeństwo zeszli się tłumnie Bułgarzy. Ponieważ była ich w tem mieście większość, nabożeństwa odbywały się po słowiańsku. Teraz zaś z okazyi przyjazdu biskupa zaczęto czytać ewangelię po grecku. Sprzeciwił się jednak temu lud bułgarski głośnym okrzykiem i wymógł, że nabożeństwo odbywało się wyłącznie po słowiańsku. Dowiedział się biskup na miejscu, na czem właściwie istota kwestyi spornej polega i woli ludu ustąpił.

Tak szedł głos świadomości narodowej i zyskiwał coraz liczniejsze grona patryotycznych kół.

(*w*) **W nowych ustawach szkolnych** w Bułgaryi, w uzupełniającej i dodatkowej części, znajdujemy bardzo wiele ciekawych i pouczających kwestyi. Wychodząc z założenia, że szkoła ludowa jest zbyt niską skalą oświaty nawet dla wieśniaka, ustawa głosi, żeby młodym ludziom, którzy ukończyli szkołę ludową, uprzystępnić rozszerzenie zakresu ich zakresu wiadomości, a to przedewszystkiem w kierunku praktycznym. W tym celu gminy winny organizować odpowiednie kursy (dzienne, wieczorne i świąteczne), gdzieby nauka trwała od początku listopada do końca lutego. Na kursy uczęszczać może każdy bezpłatnie, ministeryum udziela specyalnych subwencyi. Tu objęte być mają (minimum 3 godz. tygodniowo) następujące przedmioty: język bułgarski, arytmetyka i rachunkowość, geometrya i rysunek geometryczny, geografia i historya, nauki przyrodnicze wraz z przemysłem rolniczym, antropologia i hygiena. Nietylko nauczyciele ludowi, ale również osoby prywatne mogą wykładać na owych kursach, kierownictwo zaś obejmuje mianowany przez ministeryum delegat. Pożądanem jest, aby na owych kursach oddzielano młodzież, która ukończyła całkowitą naukę w szkole ludowej, od młodzieży z mniejszemi kwalifikacyami, a przedewszystkiem od analfabetów; w tym tylko wypadku praca może postępować prawidłowo. Z drugiej strony w miarę możności należy uczniom uprzystępniać wykłady za pomocą doświadczeń praktycznych i demonstracyi świetlnych.

W innym rozdziale ustawy poruszone są sprawy, dotyczące lokalu i instalacyi szkoły. Gmina winna utrzymywać i dbać o zabudowania. Miejsce na szkołę obiera Rada szkolna wraz z kierownikiem okręgowym, nauczycielem miejscowym i lekarzem, przyczem baczną uwagę zwraca się na warunki hygieny. Plan szkoły zatwierdza ministeryum. Ogród i plac gimnastyczny należą do niezbędnych warunków zatwierdzenia planu.

Spojrzmy wreszcie na kilka punktów ustawy, omawiających wymagania i kwalifikacye sił nauczycielskich. Nauczycielem w Bułgaryi może być tylko obywatel bułgarski, który ukończył seminaryum i odbył jednoroczną praktykę nauczycielską. W braku takich kandydatów, mogą być przyjmowane osoby z wykształceniem częściowem gimnazyalnem lub z seminaryum duchownego; ci ostatni, chcąc pozostać na stanowisku nauczycieli ludowych lub wydziałowych, muszą zdawać odpowiednie egzaminy dodatkowe. Nauczyciel progimnazyum winien oprócz seminaryum nauczycielskiego, ukończyć wyższe kursy pedagogiczne.

Kierowników szkół ludowych mianuje Rada szkolna powiatowa, zatwierdza zaś kierownik okręgowy. Nauczyciele szkół wydziałowych muszą być zatwierdzeni przez ministeryum. — W szkołach wydziałowych, gdzie bywa co najmniej czterech nauczycieli, jeden z nich obejmuje kierownictwo i jest obieralny przez grono nauczycielskie danej szkoły.

Druk ukończono 27 kwietnia 1911 roku.

Wydawca i odpowiedzialny redaktor: Dr. Feliks Koneczny.
Kraków. — Druk W. Korneckiego i K. Wojnara.
Pod zarządem Adolfa Nowaka.

Widnokręgi

DWUTYGODNIK,

poświęcony kulturze polskiej, wychodzi (rok II.) we Lwowie 10. i 25. każdego miesiąca pod redakcyą **Bronisława Biegeleisena, Leona Biegeleisena, Tadeusza Dąbrowskiego, Józefa Jedlicza, Maryana Olszewskiego** i **Ludomira Różyckiego.**

WIDNOKRĘGI

rozpoczynając drugi rok wydawnictwa, zdołały pozyskać dla współpracownictwa jeszcze szersze niż dotychczas koło ludzi, dla sprawy kultury narodowej zasłużonych, którzy będą zasilać stale uwzględniane w „Widnokręgach" działy: **filozoficzny, społeczny, krytyki literackiej, sztuk plastycznych, muzyki.** Każdy zeszyt zawiera prócz artykułów syntetycznych, **dział beletrystyczny** i urozmaicone przeglądy.

Na każde żądanie prospekt i spis rzeczy I. rocznika bezpłatnie.

Bardzo nizka prenumerata wynosi:

Kwartalnie: 2 kor. 70 gr., 2 mar. 50 fen., 1 rb. 50 kop.
Półrocznie: 5 kor. 40 gr., 5 mar. — fen., 3 rb. — kop.
Rocznie: 10 kor. 80 gr., 10 mar. — fen., 6 rb, — kop.

Adres Redakcyi: Lwów, ul. św. Marka 6.
Adres Administracyi: Lwów, ul. Czarnieckiego 3.